

alice clayton

A romantic couple embracing in a black dress and suit. The woman is wearing a black, sleeveless, form-fitting dress with a high slit, and the man is wearing a black suit jacket. They are both looking at each other and smiling. The background is a plain, light-colored wall.

**NIE DZWOŃ
DO MNIE**

Pascal

Tytuł oryginalny: Last Call

Autor: Alice Clayton

Tłumaczenie: Marta Żbikowska

Redakcja: Magdalena Binkowska

Korekta: Katarzyna Ziola-Zemczak

Opracowanie graficzne okładki: Studio KARANDASZ

Skład: Studio KARANDASZ

Zdjęcie na okładce: Claudio Marinesco (front)

Dreamstime.com/Tadija Savic (tył)

Redaktor prowadząca: Angelika Ogrocka

Redaktor inicjująca: Agnieszka Skowron

Redaktor naczelna: Agnieszka Hetnał

Przygotowanie e-Booka: Mariusz Kurkowski

Copyright © 2016 by Alice Clayton

First Gallery Books trade paperback edition June 2014

GALLERY BOOKS and colophon are registered trademarks of Simon & Schuster, Inc.

Copyright for the Polish edition © Wydawnictwo Pascal

Ta książka jest fikcją literacką. Jakikolwiek podobieństwo do rzeczywistych osób, żywych lub zmarłych, autentycznych miejsc, wydarzeń lub zjawisk jest czysto przypadkowe. Bohaterowie i wydarzenia opisane w tej książce są tworem wyobraźni autorki bądź zostały znacząco przetworzone pod kątem wykorzystania w powieści.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część tej książki nie może być powielana lub przekazywana w jakiegokolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy, za wyjątkiem recenzentów, którzy mogą przytoczyć krótkie fragmenty tekstu.

Bielsko-Biała 2016

Wydawnictwo Pascal sp. z o.o.

ul. Zapora 25

43-382 Bielsko-Biała

tel. 338282828, fax 338282829

pascal@pascal.pl, www.pascal.pl

ISBN 978-83-7642-918-2

Dedykuję tę książkę Edwardowi Cullenowi za to, że jest... po prostu Edwardem.

PODZIĘKOWANIA

Historia Simona i Caroline sięga 2009 roku. Byłam wtedy częścią Twilight Fan Fiction, wyjątkowej społeczności, która skupiała pisarzy, czytelników, krytyków i najbardziej zwariowane indywidua w mieście. Niektórzy z Was, drodzy czytelnicy, byli jej członkami już wtedy, choć wielu wsiadło na ten pokład po moim odejściu. Wspominam o tym, ponieważ gdy siedzę przy biurku, robiąc ostatnie poprawki, mam dobrze w pamięci, że to właśnie dzięki niej jestem w tym miejscu.

W jednym z wywiadów, których udzielałam, zostałam zapytana o książkę, która zmieniła moje życie. Pamiętam taki odcinek *Przyjaciół*, w którym był konkurs na to, kto kogo zna lepiej: dziewczyny chłopaków czy na odwrót. Padły wówczas dwa pytania: „Co odpowiada Rachel, gdy się ją zapyta o ulubiony film?”. „*Niebezpieczne związki*”. „A jaki naprawdę jest jej ulubiony film?” „*Weekend u Berniego*”.

„A ty, Alice Clayton? Która książka zmieniła twoje życie?” Czułam, że powinnam powiedzieć o czymś bardzo znaczącym i mądrym. Czymś, co będzie odzwierciedlało moje wewnętrzne piękno i ukáže mnie jako erudytkę. Ale prawda jest taka, że... *Zmierzch* to cholernie dobra książka, która naprawdę odmieniła moje życie. Gdyby pytanie brzmiało: „Jaka jest twoja ulubiona książka?”, powiedziałabym, że *Bastion* Stephena Kinga. Kocham ją. Co roku czytam ją od nowa. Ale to nie ona odmieniła moje życie. Dziwnym trafem zrobił to właśnie *Zmierzch*.

Gdy trafiłam do społeczności fanowskiej, mogłam się do woli cieszyć Edwardem, ale bycie tam otworzyło mi oczy również na to, że i ja mogłabym opowiedzieć jakąś historię. Zbudować swój własny świat, a przy okazji dogodzić swojemu wewnętrznemu świntuszkowi. I bawiłam się świetnie, robiąc to. Przy okazji poznałam ludzi, którzy później zostali moimi najlepszymi przyjaciółmi, a patrząc z szerszej perspektywy, pozwoliło mi to obudzić kreatywną część mojej osobowości, która przez lata pozostawała uśpiona. Pozwoliłam zaistnieć swojemu głupkowatemu ja, pozwoliłam sobie być zwariowana i odkryć na nowo Szaloną Alice. I były to najlepsze chwile w moim życiu.

Książka *Nie dajesz mi spać* została wydana w wielu krajach. Za kilka tygodni wybieram się za ocean, żeby podpisywać książki w Pradze – w cholernej Pradze! – mieście, które chciałam zobaczyć od zawsze. Poza tym zaczęłam pracę nad zupełnie nową serią infantylnych/namiętnych, śmiesznych/gorących historii, które są już gotowe w mojej głowie. Bądźcie czujni, kochani, bo wkrótce udamy się w zupełnie nowe i całkiem nagie rejony. Już się

nie mogę doczekać!

Siedzę teraz, zapinając na ostatni guzik historię, która zaczęła się bardzo dawno temu w chatroomach i na blogach. Jestem troszkę smutna, ale i bardzo wdzięczna. I niezmiernie podekscytowana, że otwiera się kolejny rozdział tego niesamowitego życia, którym teraz żyję.

A wszystko zaczęło się od nastolatki w bluzie z kapturem i stusiedmioletniego wampira prawiczka.

Dzięki.

Alice

XOXO

PROLOG

Noc od gwiazd jaśnieje.
Nadchodzi kobieta w bieli.

W jej trzewiach strach się czai.

Oto początek końca tej historii miłosnej. Tej, w której dziewczyny są piękne, chłopcy przystojni, a koty zachowują się jak gwiazdy rocka. W której przyjaźnie trwają wiecznie, a relacje dojrzewają. Spódnice unoszą się na wietrze, emocje szaleją, a wszystko kończy się dobrze... Prawda?

Zbliżenie na szczęśliwe pary. Zbliżenie na miłość do grobowej deski. Zbliżenie na kaplicę.

Tak kończy się ta historia.

Tak kończy się ta historia.

Tak kończy się ta historia.

Nie skomleniem, ale hukiem.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Nie jest dobrze. Nie jest dobrze!

– Poczekaj, możemy przecież... O rany, są naprawdę wszędzie, co nie? – powiedziałam.

– Nie jest dobrze – powtarzała Sophia.

– Podaj mi papierowe ręczniki, spróbuję to jakoś zmyć... Jezu, obrzydliwe.

– No, nie jest dobrze!

Tupnęłam nogą na znak protestu.

– Możesz przestać się powtarzać? Próbujemy coś zrobić, zanim... Cholera!

Właśnie przyjechała Mimi.

– Co, do diabła, leży na mojej sukni ślubnej?!

Najszybszym sposobem na to, żeby zostać zdegradowaną z roli druhny do zwyczajnego gościa weselnego, jest zwymiotować na suknię panny młodej. Ale zanim zwymiotujecie na suknię, upewnijcie się, że panna młoda jest idealną kombinacją pedantki, mistrzyni planowania i humorzastej księżniczki.

Mimi ma osobowość typu A, ale z elementami disnejowskimi. Oznacza to mniej więcej tyle, że do tego stopnia nie jest w stanie się zdecydować, którą suknię ślubną wybrać, że kupuje dwie. Obie szyte na miarę. Jedną na ceremonię zaślubin, drugą na wesele. Tak, że gdy pierwsza została sprofanowana – i to w każdym calu – w połowie przetrawionymi płatkami śniadaniowymi, Mimi włączyła tryb awaryjny i natychmiast mianowała się mistrzynią przezorności za to, że kupiła dwie. Suknia na wesele stała się suknią na całą imprezę i świat znów mógł spokojnie dać nura w tiul oraz koronki.

Niestety tylko do momentu, w którym uzmysłowiłyśmy sobie, że kilka w połowie przetrawionych płatków śniadaniowych wylądowało także na jej nowiutkich szpilkach od Jimmy'ego Choo. A jeden, czy nawet dwa, w środku.

Tym, co ocaliło Sophię od wyrzucenia z kościoła, był jej gigantyczny brzuch. Trzymałam Mimi mocno, ale nie było to łatwe. Była bardzo silna, jak na swoje czterdzieści pięć kilogramów.

– Zniszczyłaś moje choosy!

– Naprawdę nie chciałam! Wiesz, że nic nie mogę na to poradzić. Jestem jak fontanna, która tryska na lewo i prawo. Za gorąco mi – wymiotuję. Za zimno – wymiotuję. Wącham perfumy, które pachną przepięknie, naprawdę świetnie wybrałaś – wymiotuję. Gdybyś wiedziała, ile krawatów Neila bezpowrotnie zniszczyłam... Tak, to obrzydliwe! – Złapała się za wielki brzuch.

– No ale jestem w ciąży. Chyba nie użyjesz cudu życia przeciwko mnie?

– Rety – westchnęła powoli Mimi, przewracając oczami.

Sophia była najbardziej zjawiskową kobietą w ciąży na świecie. Wszystkie się co do tego zgadzałyśmy. Jej skóra i włosy lśniły, w oczach miała blask, nie mówiąc o cycach. Powalająca. No, może wyłączając te pięć czy sześć razy, kiedy jej skóra nagle stawała się zielona, czoło zlewało się potem, a ona sama strzelała zawartością żołądka na lewo i prawo, jeżeli nie udało jej się na czas dobiec do łazienki. Albo do kosza na śmieci. Albo jakiejś rośliny doniczkowej. Ewentualnie rynny – to akurat widziałam na własne oczy. Ale zaraz po tym wszystkim znów stawała się tym idealnym, pełnym blasku przykładem błogosławionego stanu, z każdym jego elementem, łącznie z rękoma splecionymi na pływającym w brzuchu dziecku, przy czym prawą rękę zawsze kładła na lewej, bo korzystała z każdej możliwej okazji, żeby się pochwalić pierścieniem zaręczynowym. Oczywiście, robiła to całkiem słusznie: był obłędny. Plotki głoszą, że Neil potrzebował dźwigu, żeby go podnieść i umieścić na jej palcu...

Tak więc Sophia przyjęła postawę defensywną, którą dopełniały szeroko otwarte oczy, wyraz twarzy niewiniątka i świecidełko, podczas gdy ja siłowałam się z panną młodą, która wizualizowała sobie, jak dopracowane w każdym detalu wesele legnie w gruzach na jej oczach. Była naprawdę wściekła.

– Zapasowa sukienka? Mam. Zapasowe choosy? Nie mam! W czym ja mam, do cholery, iść?

– Nie możemy ich jakoś... umyć? – spytałam, zacieśniając uścisk na jej ramionach, kiedy przypuściła kolejny atak na Sophię, która akurat odgrywała chyba scenkę z Maryją i Józefem, zanim dotarli do gospody.

– Nie zdążymy ich umyć! Poza tym nie zamierzam w dniu swojego ślubu paradować w butach cuchnących sokiem żołądkowym! – rozpaczła Mimi.

– No dobra, teraz to mnie się robi niedobrze. Czy możemy w końcu przestać rozmawiać o wymiocinach? – zapytałam, z trudem przelękając ślinę. – Możesz założyć moje buty. Pójdę na bosaka.

– Przecież ty masz olbrzymie stopy! Wyglądałabym jak klaun w tych twoich kajakach! – krzyknęła Mimi.

Żeby było jasne: noszę trzydzieści osiem.

– Nie założę cudzych butów, o ile w ciągu dwudziestu minut nie znajdziesz kogoś, kto nosi trzydzieści sześć i ma doskonały gust.

Jej dolna warga drżała ze złości.

Rzuciłam Sophii, która musiała czuć się z tym wszystkim okropnie, rozpaczliwe spojrzenie. Zaczęłam już kalkulować, ile czasu zajęłaby mi wycieczka do najbliższego ekskluzywnego sklepu z butami, kiedy usłyszałam pukanie do drzwi.

– Mimi? – To był Ryan. – Mimi, jesteś tam?

– Ryan? Nie możesz tu wchodzić, nie możesz mnie zobaczyć! – Mimi wyswobodziła się

z mojego uścisku i schowała się za drzwiami, ubrana jedynie w satynowe majtki, sznurowany gorset i błękitne podwiązki. – Nie można oglądać panny młodej przed ślubem, to przynosi...

– Spokojnie, głuptasku. Nie ośmieliłbym się igrać z tradycją. Chciałem tylko coś ci powiedzieć, zanim się zacznie ten cały, wiesz, spacer do ołtarza.

– Co takiego? – zapytała i przyłożyła ucho do drzwi.

– Ja... Chcę, żebyś wiedziała... jaki jestem szczęśliwy. Jestem najszczęśliwszym człowiekiem na świecie, bo za chwilę ożenię się z dziewczyną moich marzeń.

– Och... – wyszeptała Mimi, łapiąc się framugi.

Złapałam Sophię pod rękę i słuchałyśmy dalej razem.

– I nie mogę się doczekać, aż się z tobą ożenię. Dosłownie nie mogę się doczekać. Wiem, że to już za godzinę, ale wydaje mi się, że to strasznie długo, wiesz?

– Wiem – westchnęła Mimi i rozmarzona oparła się o drzwi. Ktoś coś mówił o sukni ślubnej? O szpilkach od Choo? Wszystko to nagle poszło w niepamięć. – Tak bardzo cię kocham.

– Ja ciebie też kocham, najśłodsza – wyszeptał, a my z Sophią westchnęłyśmy. – Nie mogę się doczekać naszego miesiąca miodowego. Rzucę cię od razu na łóżko i zedrę z ciebie suknię jednym ruchem. Nie mogę się już doczekać, jak przelecę moją żonę...

– Eee... Kochanie? Dziewczyny tu są.

– Cholera.

– Cześć, Ryan – powiedziałyśmy z Sophią jednogłośnie chórem.

– Cholera.

– Ale, wiesz, to brzmi naprawdę niezłe... – powiedziała łagodnie Mimi, a Ryan zachichotał.

– No dobra, nie będę wam przeszkadzał w tych waszych ślubnych sprawach. Chciałem ci to tylko powiedzieć.

– Do zobaczenia. – Mimi uśmiechnęła się, a my słuchałyśmy, jak Ryan odchodzi. Po chwili odwróciła się do nas, a jej oczy znów promieniały. – Wyjdę za niego na bosaka. W końcu raz się żyje!

Podbiegła do nas niczym tryskający radością wulkan energii i mocno nas przytuliła. I tym sposobem Sophia z powrotem trafiła na listę weselnych gości.

Kryzys został zażegnany i ślub odbył się bez przeszkód. Żadnych więcej wymiocin, za to mnóstwo śmiechu i łez. I jedna para bosych stóp z perfekcyjnym pedikiurem w drodze do ołtarza. Mimi miała sukienkę trzy czwarte z marszczoną satyną, o kroju à la lata pięćdziesiąte. Jej bosa stopy? Urocze. Uśmiech? Nie z tego świata. Pasował tylko do tego, który zdobił twarz jej przyszłego męża patrzącego, jak się zbliża do ołtarza.

Ceremonia była krótka, w obrządku rzymskokatolickim, i bardzo piękna. A skoro już jesteśmy przy pięknych rzeczach...

Zawsze było mi mało Simona Parkera w garniturze. Szczególnie kiedy tak stał na końcu

alejki. Nie będę kłamać, dało mi to trochę do myślenia, tym bardziej że podczas ceremonii parę razy spojrzał mi prosto w oczy. Czasami po prostu uśmiechaliśmy się do siebie, ciesząc się ze szczęścia naszych przyjaciół. Innym razem wyglądał na zamyślonego, jak to zwykle ludzie na ślubach. A raz spojrzał mi głęboko w oczy, sugerując, że wolałby zająć się czymś innym niż stanie w kościele. Tym czymś byłam ja.

Tak tylko tłumaczę, na wypadek gdyby to nie było jasne.

Kiedy szczęśliwi nowożeńcy wychodzili z kościoła do czekających na nich z życzeniami gości, Neil i Sophia, jego ciężarna dziewczyna, ruszyli za nimi. Simon zszedł do mnie po schodkach prezbiterium, wziął mnie pod rękę i razem poszliśmy nawą w kierunku wyjścia.

– Piękne – powiedział.

– Rzeczywiście, ceremonia była piękna.

– Nie o tym mówiłem – wyszeptał i zmierzył mnie wzrokiem, patrząc najpierw w dół, wzdłuż linii sukni z szantungu w bladym odcieniu herbaty, aż po idealnie dopasowane szpilki z odkrytymi palcami, a potem z powrotem w górę, aż po dekolt. Dobrze wyeksponowany. Mimi zażyczyła sobie, żeby jej druhny miały porządne dekolty.

– Bardzo mi miło.

– To one są bardzo miłe – powiedział, patrząc na moje dziewczynki.

– Panie Parker, przywołuję pana do porządku – poinstruowałam go i mocno uszczypnęłam w ramię.

Mój facet: wysoki i smukły, niesamowicie przystojny, o ciemnych włosach, niebieskich oczach i potężnych dłoniach, które unieruchamiają mnie, kiedy napiera... Zaraz, co ja wygaduję?

– A dokąd ty się właściwie wybierałaś? – zapytał z zaciekawionym.

– W jedno takie nieprzyzwoite miejsce – rzuciłam i poczułam, że zapłonęły mi policzki.

Nachylił się w moją stronę, żeby założyć mi za ucho niesforny kosmyk blond włosów i przy okazji pocałował mnie w szyję.

– Wiedziałem, że zamiast nazywać cię Dziewczynką w Różowej Piżamce, powinienem był cię nazwać Niegrzeczną Dziewczynką.

– Cicho, Wallbanger. Przed nami jeszcze długa kolejka do życzeń. Potem zdjęcia. Potem koktajle. Potem obiad. Będziemy szczęściarzami, jeżeli uda nam się znaleźć choć chwilkę na sprośności przed jutrem.

– Szybki numer w szatni?

– Nie, oni zdążyli mi już wybić z głowy ten pomysł – zaśmiałam się i wskazałam na Sophię i Neila.

Trzymał rękę na jej tyłku, co tam kościół! Od dnia, w którym obwieściła, że jest w ciąży, przytyła jakieś trzynaście kilogramów i wszystko poszło jej w piersi i pupę. Neil nie mógł się tym nacieszyć.

– Na pieska. Przez cały dzień. Przez całą noc. Chce tego w kółko. Nie może przestać na nią

patrzyć, dotykać jej, całować i masować. Zupełnie jakbym się zamieniła w jeden wielki tyłek, stworzony tylko po to, by dawać mu przyjemność – powiedziała Sophia do Mimi podczas lunchu, ku wielkiej ucieście kelnera, który tego dnia obsługiwał nas zaskakująco gorliwie. Nie pamiętam, żeby poziom wody w mojej szklance choć raz opadł poniżej trzech czwartych.

Gdy byliśmy przy ostatniej ławce, Simon jeszcze raz nachylił się w moją stronę.

– A co by było, gdybym ci powiedział, że znam takie jedno miejsce stworzone do szybkich numerków... Absolutnie tajne.

Jego ciepły oddech ogrzewał moją skórę i kilka innych części ciała.

– Ty diable – szepnęłam, drżąc delikatnie.

– Caroline, opanuj się. Jesteśmy w kościele – zbeształ mnie z błyskiem w oku.

Kochałam tego faceta.

Doszliśmy do schodów, a gdy wychodziliśmy, zobaczyliśmy Ryana, który trzymał na rękach narzeczoną. Jej stopy majtały w powietrzu, a ona obejmowała go mocno i śmiała się jak dziecko. Zewsząd było słychać ochy i achy, a ja i moi przyjaciele staliśmy obok siebie, uśmiechając się i obserwując, jak pierwsza dziewczyna z naszej paczki zakłada rodzinę.

– Ile czasu Neil potrzebuje, żeby ciebie tak nosić na rękach? – zapytałam Sophię, która stała oparta plecami o ojca swojego dziecka.

– Sześć miesięcy od porodu. Tyle chyba wystarczy, żeby zrzucić dodatkowe kilogramy. Przecież muszę wyglądać zabójczo w ślubnej sukni – odpowiedziała i niezbyt subtelnie zaczęła ocierać się pupą o Neila, który wydał z siebie cichy pomruk i odwzajemnił jej ruchy.

– Nic nie widzę. Nic nie słyszę – rzuciłam i zasłoniłam oczy rękami.

– Nie mogę się powstrzymać... Widzieliście jej tyłeczek? Kochanie, odwróć się i pokaż im...

Simon zaśmiał się i lekko klepiąc Neila po plecach, zaczął odciągać go na bok.

– Zabieram Pana Tyłeczka i idziemy pogratulować świeżo upieczonemu Panu Mimi. Uważajcie na siebie – rzucił.

Gdy odchodzili, przyglądałyśmy się im z Sophią rozmarzone.

– A skoro już mowa o niezłych tyłeczkach...

– No właśnie. Boże, nie wiem, czy to ze mną jest coś nie tak, czy oni po prostu wyglądają w tych garniturach obłędnie?

– Można zacząć się nad tym zastanawiać, co nie?

Sophia zamyśliła się, patrząc, jak jej idealny Pan Tyłeczek zaczął wywijać Ryanem, tak jak ten wcześniej wywijał Mimi.

– Zastanawiać nad czym? Kiedy wyjść za mąż? Kiedy powinniśmy założyć rodziny? – zapytałam i serce mi stanęło na myśl o tym, że mogłabym zostać panią Parker.

– Nie. Zastanawiać się nad tym, czy Neil założył bokserki. Nie widzę, żeby pod tymi obcisłymi spodniami odznaczała się jakaś linia.

– No tak. To zupełnie inna bajka – odpowiedziałam i zaśmiałam się cichutko.

Objęła mnie ramieniem i przycisnęła do siebie.

– Caroline Reynolds, popatrz tylko, jak się czerwienisz...

– Cicho bądź!

– Tak cię ekscytuje myśl, że mogłabyś wyjść za mąż i zostać kobietą swojego mężczyzny?

– Myślisz, że skoro jesteś w ciąży, nie odważę się kopnąć cię w kostkę?

– Lepiej chodźmy pogratulować naszemu Shoeless Joe * – powiedziała z uśmiechem

i wskazała na otoczoną przez rodzinę Mimi.

* Shoeless Joe (Joe Bez Butów) – przydomek amerykańskiego baseballisty, Josepha Jeffersona Jacksona, który jeden mecz zagrał w samych skarpetach (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

Dziewięćdziesiąt minut później piłyśmy szampana przy Pałacu Sztuk Pięknych, jednym z najbardziej ikonicznych miejsc w San Francisco. Mimi dokładnie sprawdziła pogodę, ale nie chodziło jej tylko o dane meteorologiczne. Tak zaplanowała ślub, żeby światło wpadające przez okna kościoła idealnie podkreślało jej karnację, a wesele odbyło się o zachodzie słońca. Kiedy w końcu zapalono lampy i świece, cały ten zapierający dech w piersiach krajobraz zaczął się odbijać w tafli jeziora. Polerowane złoto murów budowli, głęboki błękit wody, budyniowy blask świec, a do tego magenta, pomarańcz i fuksja w kalejdoskopie obrazków zachodzącego słońca tworzyły wyjątkowo malownicze tło tego uroczego popołudnia.

Ten dzień był idealny i tylko profesjonalista mógł tego dokonać. Simon i ja wmieszaliśmy się w tłum, popijaliśmy szampana i rozmawialiśmy z obcymi, znajomymi i przyjaciółmi. Na wesele przyjechała nawet Viv Franklin, która zaprzyjaźniła się z Mimi, kiedy robiłam renowację jej domu w Mendocino. Był z nią Clark Barrow, jej czarujący narzeczony.

– Nie wierzę, że znowu jesteś w ciąży. William nie ma jeszcze pół roku! – powiedziałam, gdy ogłosiła nowinę.

– Wiem! Nasienie Clarka ma chyba... jakby to powiedzieć... jakąś nadnaturalną moc. Nie potrafię tego wytłumaczyć. Po prostu się tym cieszę.

– Vivian! – rzucił karcąco Clark, po czym spłonął rumieńcem i pokiwał głową. – Można wyjawić tajemnicę, nie zdradzając jednocześnie wszystkich szczegółów.

– Można powiedzieć dokładnie to, na co ma się ochotę, szczególnie jeśli jest się taką śliczną doniczką dla małej fasolki – zażartowała Viv i poklepała się po ledwo co widocznym brzuchu, ostatecznie zamykając temat Clarka, który robił się coraz bardziej czerwony.

Byliśmy u nich z Simonem tuż po narodzinach ich pierwszego syna, uroczego chłopca. Świeżo upieczeni rodzice bardzo entuzjastycznie podchodzili do tego, co dał im los. Planowali ślub kilka miesięcy po narodzinach małego, ale wyglądało na to, że będą musieli jeszcze trochę poczekać.

– Chciałabym wyjść za mąż w rodzinnych stronach, tam gdzie żenili się moi bracia – powiedziała Viv. – Simon, pamiętasz St. Gabriel, prawda?

– To ten kościół przy Siódmej Ulicy? – zapytał.

Oboje wychowali się na zachodzie, w Pensylwanii.

– Właśnie ten. W nim pożenili się chyba wszyscy Franklinowie. Moim zdaniem katolicy mają dziwne podejście do grzechu. Wybaczą wszystko, ale nie potrafią rozmawiać o tym twarzą w twarz... Wiesz, o co mi chodzi? Moja matka Umarłaby, gdyby zobaczyła swoją córkę idącą do ołtarza z brzuszkim – powiedziała Viv ze śmiechem.

– Dlatego poczekamy, aż ten się urodzi i weźmiemy ślub w przyszłym roku – dokończył Clark, po czym objął ją i mocno do siebie przytulił. – Nasze dzieci będą na naszym ślubie. Czyż to nie wspaniałe?

– Wspaniałe. – Viv uśmiechnęła się do niego ciepło, a potem zwróciła się do mnie: – A skoro już mowa o fajnych rzeczach, musisz koniecznie obejrzeć moje ostatnie obrazy. To seria, która pokazuje, jak zmienia się światło nad oceanem w różnych porach dnia. Są całkiem niezłe, przynajmniej moim zdaniem.

– Bardzo chciałabym je zobaczyć. Wiesz, że nigdy nie miałam problemów z tym, żeby znaleźć kupców dla twoich prac – powiedziałam i zaczęłam się zastanawiać, kiedy w końcu będę mogła pojechać na wycieczkę na północ. Mój biznes, Jillian Designs, miał się coraz lepiej i miałam kalendarz wypełniony po brzegi, chociaż pewnie dałoby się znaleźć w nim kilka luk. Jakoś udało mi się stworzyć idealną równowagę pomiędzy pracą i czasem dla siebie.

Jillian zatrudniła mnie po tym, jak odbyłam u niej staż podczas ostatniego roku studiów i szybko stała się dla mnie kimś więcej niż tylko szefową, prawą ręką czy mentorką. Jest przyjaciółką. Mniej więcej w zeszłym roku wszystko się zmieniło. Kiedy po raz pierwszy powiedziała, że ona i Benjamin będą wyjeżdżać do Amsterdamu na sześć miesięcy każdego roku, byłam pewna, że charakter mojej pracy w firmie projektującej wnętrza ulegnie zmianie. Zarządzałam nią już przez kilka miesięcy, kiedy pojechali na miesiąc miodowy, więc byłam zaszczyczona, gdy Jillian zaproponowała mi współpracę. Zaszczyczona i śmiertelnie przerażona. Przerażona na tyle, że nie byłam nawet w stanie jej odmówić i musiałam podjąć się tego, czego boi się większość początkujących projektantów. Kreatywna część mojego ja podpowiadała mi, że administracyjna strona prowadzenia firmy to nie przelewki, ale kiedy ktoś przekazuje ci klucz do swojego królestwa, nie możesz tak po prostu odejść.

Nie odeszłam, ale też nie przywłaszczyłam sobie kluczy. Jillian i ja wypracowałyśmy system, który pozwolił mi kontynuować pracę z klientami i wspólnie nadzorować sprawy, kiedy ona była za granicą. Ustaliliśmy, że moja praca będzie mieć raczej charakter kreatywny i zatrudniłyśmy menedżera. Miał pilnować, żeby zapalić światło i żeby wypłaty wychodziły na czas.

Niewątpliwie jednak na brak pracy nie narzekałam. Po tym, jak pomogłam Viv z renowacją jej wiktoriańskiego domu w Mendocino, zlecono mi kilka innych projektów w okolicy, które wyszły poza dotychczasowy zakres działania Jillian Designs i Bay Area. Pracowałam

w północnej Kalifornii i okolicach Santa Barbary. Oczywiście większość zleceń wciąż miałam w San Francisco, ale praca w terenie dawała mi radość i dużo satysfakcji. Poza tym pomagałam zwiększyć rozpoznawalność naszej firmy, choć trzeba przyznać, że już wcześniej była dosyć znana.

Niezależnie od tego, jak bardzo byłam zapracowana, zawsze starałam się wygospodarować trochę czasu, żeby pojechać na noc do Mendocino, odwiedzić Viv i zobaczyć, nad czym pracuje. Czasami jechałam z Simonem, czasami sama. Trasa była łatwa, a miejsce urocze. Viv przerobiła poddasze na studio, w którym malowała rewelacyjne obrazy, wszystkie zainspirowane jej nowym domem w Mendocino. Sprzedałam kilka z nich klientom i wieści się rozniosły. Parę jej prac wisiało w sklepach w jej okolicy, ale na koncie miała nawet wystawę w San Francisco. Nowe prace? Moim zdaniem były warte wycieczki.

– Zerknę w poniedziałek do mojego kalendarza i dam ci znać, kiedy będę mogła się do ciebie wybrać, dobrze?

– Świetnie! Simon, może tym razem ty też przyjedziesz? Dopiero co kupiliśmy dwa nowe kajaki – zaproponowała Viv, mając nadzieję, że w ten sposób uda jej się go namówić.

– Zobaczą. Niedługo jadę w podróż służbową i mam sporo do zaplanowania – odpowiedział, ale zobaczyłam w jego oczach błysk.

– Och, już przestań się migać, przyjedziesz i koniec. A teraz potrzebuję kolejnego bezalkoholowego piwa. Chodźmy dać czadu, Clark – rzuciła Viv, podejmując decyzję za Simona.

– Niesamowita kobieta – wymamrotał Clark i uśmiechnięty od ucha do ucha poszedł za nią do baru.

– Ci dwoje nie lubią chyba tracić czasu?

– Zdaje się, że nie tylko oni... – powiedziałam, wskazując stolik, przy którym Mimi i Ryan zaczęli grę wstępna.

– Przed nami jeszcze cały wieczór...

– Nie będziesz się nudził – szepnęłam i zjechałam ręką w dół, by ukradkiem złapać go za pośladki.

– Niegrzeczna – powiedział, po czym objął moją twarz rękoma i przyciągnął do siebie na długi pocałunek.

Pozwoliłam mu na to, raz się żyje. W końcu byliśmy na weselu. Odwzajemniłam jego czułości, na co on rozchylił swoje słodkie usta, bym mogła poczuć jego jeszcze słodszy język. Mój oddech przyspieszył, dostałam wypieków i nagle uznałam, że szybki numerek to nie taki głupi pomysł. Wtedy jednak usłyszałam, że zaczynają się toasty, co było sygnałem, że trzeba wracać do stołów, by dalej odgrywać role grzecznych i dystyngowanych gości weselnych.

– Później – wyszeptał.

To było jak obietnica.

Wesele przebiegało bez przeszkód. Tańczyliśmy, piliśmy, znowu tańczyliśmy, a potem wypiliśmy jeszcze więcej. Sophia i Viv wreszcie miały okazję się poznać i miłość do piwa bezalkoholowego połączyła je w okamgnieniu. Opowiadały sobie historie porodowe i bez końca rozmawiały o jakichś specjalnych chustach, w których można nosić dzieci. Wyglądało na to, że nigdy nie skończą gadać o tym czymś, jakkolwiek się to nie nazywa, ale ponieważ Sophia była pierwszą mamą w naszej małej paczce, cieszyłam się, że wreszcie znalazła osobę, która była w stanie zrozumieć, przez co przechodzi.

Kiedy żegnaliśmy się z Mimi i Ryanem, którzy jechali do hotelu Palace, gdzie chcieli przenocować przed jutrzejszym wylotem w wymarzoną podróż poślubną na Bora-Bora, byłam już całkiem wstawiona i zupełnie napalona na swojego faceta, ale oczywiście znalazłam chwilkę na pożegnanie z przyjaciółką.

– Byłaś najpiękniejszą panną młodą, jaką kiedykolwiek widziałam. Naprawdę, Mimi, to był wyjątkowy dzień.

– Było ekstra, prawda? – zaśmiała się, unosząc jedną stopę, by rzucić okiem na podeszwy. – Mam stopy czarne jak smoła...

– Wyglądają dość paskudnie – zgodziłam się. – Ale ty sama byłaś świetna.

– Wiem! – powiedziała, a potem przytuliłyśmy się do siebie.

– A co to za lesbijskie migdalenie się, co?

Sophia wyrosła przed nami, nie wiadomo skąd.

– Och, nie gadaj, tylko chodź do nas! – krzyknęła Mimi. – Jesteście moimi najlepszymi przyjaciółkami. Wiecie o tym, dziewczyny?

– Najlepszymi przyjaciółkami? Serio? To dlaczego twoja kuzynka była świadkową?

Sophia lubiła się z nią drażnić.

– Dobrze wiesz, że to nie była moja decyzja. Matka nigdy by mi tego nie wybaczyła. To musiała być ona i...

– Hej, mała, wstrzymaj konie. Żartowałam. – Sophia pocałowała ją w czoło. – Wyglądasz dziś niesamowicie. Zresztą, cholera, wszystkie wyglądamy. Zorganizowałaś naprawdę świetne przyjęcie, gratuluję.

– Dziękuję! I Boże, dziękuję, że nie zakochałaś się w Ryanie. I dziękuję, że ja nie zakochałam się w Neilu. On jest uroczy i naprawdę świetnie całuje, ale...

– Dzięki Bogu wszystkie jesteśmy w takim momencie, w jakim jesteśmy. I może na tym zakończymy? – wtrąciłam ze śmiechem, bo przypomniał mi się weekend nad jeziorem Tahoe, kiedy ich czwórka niespodziewanie naprawiła swoje błędy randkowe. To, co miało się skończyć, skończyło się właśnie tam. Dwójka wzięła ślub, a druga dwójka będzie miała dziecko.

Patrzyliśmy na naszych chłopaków. Poluzowane krawaty, zmierzwione włosy. Chryste, ależ oni byli przystojni!

– Idę zabrać męża do apartamentu dla nowożeńców w hotelu Palace – powiedziała

rozmarzona Mimi, a w jej głosie było słycać nutkę lubieżności.

– A ja idę po Simona i zamierzam robić z nim różne rzeczy w limuzynie, która zawiezie nas z powrotem do Sausalito.

– No to ja idę po Neila i kilka kawałków ciasta, które będę jadła, gdy on... będzie jadł mnie.

– Och, na miłość...

– Dobranoc, siostró!

W taki sposób właśnie wysłałyśmy Mimi na miesiąc miodowy.

Półtorej godziny później...

– Simon, Simon... Jak dobrze, o Boże, jak dobrze, tak, tutaj, tak, nie przestawaj...

Półtorej minuty później...

– Nie mogę uwierzyć, że jadłaś ciasto, kiedy to robiłem.

– Ty też możesz jeść ciasto, kiedy ja...

– Caroline, ty Niegrzeczna Dziewczynko. Na tylnym siedzeniu limuzyny... Ale mi dobrze. I to ciasto jest takie pyszne!

ROZDZIAŁ DRUGI

Czy możesz mi jeszcze raz powiedzieć, dokąd my właściwie jedziemy? Kupić pitbulla? – zapytałam, kiedy czekałyśmy z Sophią, aż Simon i Neil zatankują naszego range rovera.

Wybieraliśmy się poza miasto, żeby spędzić trochę czasu w Monterey, rodzinnym mieście Sophii. Kilka godzin jazdy drogą wiodącą wzdłuż wybrzeża i człowiek jest w zupełnie innym świecie.

– Tak, jedziemy kupić pitbulla, Caroline – odpowiedziała oschle Sophia.

– Że co?

– To nie jest jak kupowanie torebki. I ja, i Neil chcemy szczeniaczka. Myślę, że będzie miło mieć dzidziusia i pieska w tym samym czasie.

– Myślę, że trzeba być szaleńcem, żeby decydować się na dzidziusia i pieska w tym samym czasie, ale przecież szukałam tylko podwózki... – rzuciłam. Sophie pokazała mi środkowy palec, a ja nie pozostałam jej dłużna. – To naprawdę trochę dużo jak na jeden raz, nie sądzisz?

– Planowaliśmy kupić pieska dopiero po narodzinach dziecka, ale kiedy Lucas wysłał mi zdjęcia ostatniego miotu, po prostu nie mogłam... Popatrz sama! Czy potrafisz im się oprzeć?

– zapytała, pokazując mi ekran telefonu i przewijając w dół, żebym mogła zobaczyć sześć czy siedem najmniejszych, najśłodszych na świecie psiaków, leżących w rzędzie na poduszce przy mamie. Niektóre były szare, inne czarno-białe, a wszystkie bez wyjątku absolutnie urocze. – I patrz, jest też filmik!

– O, Boże, zabijesz mnie – westchnęłam, ale oglądałam dalej szczeniaczki skaczące i bawiące się niczym dwanaście odmian słodyczy. – Nie wiem, czy uda mi się powstrzymać Simona przed zabraniem jednego z nich do domu...

– Clive by was zabił gołymi rękami – odpowiedziała Sophia i odłożyła telefon, gdy zobaczyła, że chłopaki wracają do samochodu.

– Gołymi łapami – uściśliłam.

– Gołymi łapami? O czym wy rozmawiacie? – zapytał Simon i usiadł za kierownicą.

– Clive.

– Śni mi się czasami... Ten kot jest cholernie mądry.

– A jak się miewa jego harem? – zapytał Neil.

Simon szturchnął go w ramię.

– Stary, nie nazywaj ich tak.

– Jego dziewczyny... Siostró-żony. Jak to możliwe, że po waszym mieszkaniu nie biega jeszcze stado kociaków?

Neil rozmasowywał bolące miejsce na ramieniu.

– Clive został wysterylizowany już dawno temu. Nie ma orzeszków – powiedziałam. – Dziewczyny niewątpliwie pokochały go za osobowość.

Kiedy nasz kot wrócił do domu po krótkim okresie włóczęgostwa, nie był sam. Przyprował z sobą trzy urocze koteczki, które łaskawie zaadoptowały mnie i Simona. Mieszkaliśmy więc teraz z czterema, powtarzam, czterema kotami. Norah, Ella i Dinah pomagały Clive'owi zarządzać gospodarstwem, a my staraliśmy się po prostu nie wchodzić im w drogę. Czasami w naszym łóżku robiło się tłoczno, ale prawdę mówiąc, nie zrezygnowalibyśmy z tego za żadne skarby.

– Okej, Neil, spróbujmy działać zgodnie z tym planem, w którym wybieraliśmy jednego szczeniaka, tego najspokojniejszego z miotu, dobra? – zapytała Sophia i położyła mu rękę na ramieniu.

– Zobaczymy – skwitował, a dziesięć sekund później zrobił się cały czerwony. Wyglądało na to, że musiała go uszczypnąć. – Jednego. Tylko jednego – wydusił, a ona pogłaskała go po głowie. – Wiolonczeliści. Nie ma silniejszych dłoni. Na ogół jest to dobra rzecz. Ale czasami...

– A tutaj trzymamy wszystkie nowe pieski, te, z którymi najkrócej pracujemy. Czasem wychodzą na wybieg razem z innymi, ale na początku często potrzebują detoksu od innych psów – powiedziała wysoka blondynka. Brzmiała zupełnie naturalnie, chociaż pewnie powtarzała te słowa już setki razy.

Dojechaliśmy do Monterey w niecałe dwie godziny, co było miłą odmianą. Za każdym razem, kiedy jechała z nami Mimi, musieliśmy się zatrzymywać co pięćdziesiąt kilometrów, żeby kupować przekąski. W mieście wystarczyło tylko podjechać na wzgórze i już byliśmy w Our Gang, centrum pomocy maltretowanym i porzuconym pitbullom. Niewiele wiedziałam o tej rasie – znałam ją głównie z historii rodem z wieczornych wiadomości – więc nie bardzo wiedziałam, czego się spodziewać. W każdym razie na pewno nie tego, że właścicielką tego przybytku będzie była królowa piękności. Sophia opowiedziała mi, jak Chloe przejęła schronisko, i trzeba przyznać, że brzmiało to imponująco, szczególnie jeśli się wzięło pod uwagę fakt, że prowadziła je dopiero niecały rok.

– A gdzie są szczeniaczki? Chcę już zobaczyć szczeniaczki! – powiedział Neil, który od dłuższego czasu nie był w stanie ustać w miejscu.

– Spokojnie, są tuż za rogiem – zaśmiała się Chloe i pogłaskała psa, który szedł przy jej nodze.

Sammy Davis Jr. był delikatny i słodki, więc zapewne grał rolę tutejszej maskotki. Wszyscy wolontariusze zatrzymywali się, żeby się z nim przywitać. Ponieważ sama miałam kota

o imieniu Clive, uznałam, że nie mam prawa oceniać tego, jak ludzie nazywają swoje zwierzęta.

– Ile osób u was pracuje? – zapytałam Chloe, gdy szliśmy do miejsca, w którym mieszkały szczeniaczki.

– Na pełnym etacie trzy, ale zatrudniam jeszcze sześć w niepełnym wymiarze godzin i od siedmiu do dziesięciu wolontariuszy. To akurat zależy od pory roku i semestru. Mamy umowę z lokalnym college'em weterynaryjnym, więc studenci często odbywają u nas staże. No i jest jeszcze Lucas, mój chłopak. Pracuje w mieście jako weterynarz i pomaga mi tutaj.

– Masz na myśli mojego kuzyna Lucasa – wtrąciła Sophia.

– Nie, mam na myśli mojego chłopaka Lucasa – powiedziała Chloe, uśmiechając się do niej słodko.

– To mój kuzyn.

– To mój chłopak.

– Jesteś dużo fajniejsza niż jego poprzednia dziewczyna! – krzyknęła Sophia dokładnie wtedy, kiedy zza rogu wyłonił się bardzo przystojny facet.

– Dokuczasz mojej kuzynce, Chlo? – zapytał, po czym podszedł do niej i mocno ją przytulił.

– Muszę. Jest nieznośna – odparła Chloe, na co Sophia pokazała jej język. – Lucas, to są Simon i Caroline, przyjaciele...

– To moi przyjaciele i sama mogę ich przedstawić – wtrąciła się Sophia. Po tym, jak wredna była w stosunku do Chloe, zgadywałam, że bardzo ją lubi. – To Simon i Caroline.

– Miło was poznać, Caroline, Simon – odpowiedział Lucas i uściśnął nasze dłonie, najpierw moją, potem Simona. – Słyszałem, że przyjechaliście po szczeniaczka.

– To nie my. To oni. – Simon wskazał na Neila i Sopię. – My mamy już na głowie cztery koty.

– Cztery koty? Nieźle – rzucił Lucas, gdy wchodziliśmy do tajemniczego pomieszczenia.

I nagle zobaczyliśmy... szczeniaczki. Były dokładnie tak słodkie, jak się spodziewałam. Neil w ciągu sekundy padł na ziemię i zniknął pod falą czworonożnej słodyczy.

– One są niesamowite! – krzyknął.

Psiaki oblażyły go jak mrówki, co mu wcale nie przeszkadzało. Kiedy patrzyliśmy, z jaką radością nasz przyjaciel tarza się po ziemi, wyobraziłam sobie Neila w roli ojca.

– Zdajesz sobie sprawę z tego, że to nie ty będziesz dobrym policjantem dla waszego dzieciaka? – szepnęłam na ucho Sopi, która obserwowała całą sytuację z rozbawieniem.

– Och, to przecież oczywiste. – Kiwnęła głową. – Ale wiesz, kiedy gram złego policjanta, zabójczo dobrze wyglądam – dodała z szerokim uśmiechem.

– Pozwól, że ci przerwę – powiedział Simon, po czym dołączył do przyjaciela.

Kiedy patrzyłam, jak się bawi ze szczeniakami, wyobraziłam go sobie turlającego się po podłodze naszego domu w Sausalito z bandą kociaków i dzieciaków. Hmm, to była przyjemna

wizja.

– Jak widzicie, wszystkie są urocze – powiedziała Chloe, patrząc znacząco na dorosłych facetów turlających się po podłodze. – Macie już faworyta?

– Dobry Boże, jak my teraz wybierzemy?

Sophia schyliła się, żeby podnieść ślicznego maluszka, który akurat wąchał jej stopy.

Ha! Sophia już wybrała... Ugryzłam się w język i nic nie powiedziałam, spojrzałam za to na Simona, który szczyrzył się do mnie, trzymając w rękach kilka piesków.

– Nie ma mowy – powiedziałam, znacząco marszcząc brwi.

O tym, które psy zabrali Sophia i Neil, zdecydowały oczywiście same szczeniaki. I nie skończyło się na jednym ani nawet dwóch – zaadoptowali trzy. Zdrowy rozsądek przegrał ze słodyczą i nawet Sophia zaczęła się ekscytować myślą, że jej dom będzie wypełniać jednocześnie tupot stópek niemowlaka i psich łapek. Prawdę mówiąc, nigdy nie widziałam jej szczęśliwszej. Ciągle jeszcze udawała, że jej to nie rusza i stara się jedynie okiełznać rozentuzjasmowanego Neila, ale radość z kierunku, jaki obrało jej życie, miała wypisaną na twarzy. Trójka szceniąt była tylko kolejnym dowodem na to, że mój długonogi rudzielec zaczynał się udomawiać. Wszyscy powoli zbliżaliśmy się do trzydziestki i chyba zaczynaliśmy się ustatkowywać, chociaż dość powoli.

Lucas i Chloe namówili nas, żebyśmy zostali na obiedzie. Neil i Sophia mieli u nich przenocować, a my zarezerwowaliśmy sobie nocleg w hotelu butikowym nad oceanem. Nie mogłam się już doczekać zasypiania przy szumie fal. Oczywiście nie mogłam się też doczekać, aż Chloe nas oprowadzi po swoim ekstrawaganckim domu.

– Czuję się tak, jakbym podróżowała w czasie! Jeszcze nigdy nie widziałam czegoś takiego. Naprawdę nie prosiłaś projektanta o to, żeby zrobił ci tutaj rekonstrukcję wnętrza z 1958 roku? – zapytałam, napawając się otaczającym mnie kiczem.

– Chyba żartujesz. Wszystko w tym domu jest autentyczne, pochodzi z czasów moich dziadków i leżało nietknięte od lat. Mimo że to tylko letni domek, jestem pod wrażeniem, jak świetnie wszystko się trzyma. Meble są wciąż w doskonałym stanie.

– Mogłabym sprzedać dosłownie każdy centymetr tego domu swoim klientom. Ludzie teraz szaleją za latami pięćdziesiątymi. Jezu, czy to twoja wieża stereo? – zapytałam i wskazałam na kredens z otwieraną środkową częścią. Był w niej ukryty połyskujący gramofon w idealnym stanie. Niedawno robiłam renowację podobnego mebla dla jednego z klientów, ale ten tu to było prawdziwe cacko. Duński design. Ten dom aż się roił od takich smaczków.

– Słuchamy płyt prawie codziennie. Lucas, odpal tego diabła! – krzyknęła Chloe, a jej chłopak wyjrzał do nas zza barku w hawajskim stylu.

– Już się robi, koteczku – rzucił i już chwilę później słuchaliśmy miękkiego wokalu Deana Martina. – To kto chce koktajl? Przygotowałem kilka zombie.

Dwie godziny później byłam mądrzejsza o parę przeżyć. Po pierwsze, koktajle zombie to śmiertelna zabawka. Nigdy nie należy pić ich więcej, niż jest się w stanie – w moim przypadku, jak się okazało, oznaczało to nie więcej niż dwa. Zjedliśmy pyszny obiad, który zaserwowała Chloe, na patio, a potem siedzieliśmy, pijąc kawę, rozmawiając i próbując zwalczyć skutki uboczne potwornie mocnych koktajli.

– Następnym razem musimy trochę bardziej uważać z alkoholem – zasugerowała Chloe Lucasowi. – Sprawdzamy przepisy z książki z hawajskimi drinkami i nie da się ukryć, że niektóre są o wiele mocniejsze od innych.

– Szczególnie, kiedy mai tai wpadnie w twoje ręce – wyszeptał Lucas, na co Chloe splonęła rumieńcem. – To jak, kuzynko, kiedy zamierzacie się pobrać? Nie znalazłem jeszcze w skrzynce zaproszenia.

Sophia poklepała się po brzuchu.

– Nie jestem pewna, ale chyba jakieś pół roku po tym, jak przyjdzie na świat ten mały ludzik. Muszę trochę schudnąć, żeby wyglądać powalająco.

– Będiesz tak wyglądać, niezależnie od wszystkiego – wtrąciłam.

– Mam na myśli tak powalająco, jak przed dzieckiem. Tak, jestem płytka, wybaczcie mi. I mówię o tym, żebyście wy już nie musiały – powiedziała.

– Nie jesteś płytka – zaśmiałam się.

– Jesteś całkiem płytka – zripostowała Chloe z uśmiechem, a Sophia wzięła do ręki nóż i pokazała jej gest podcinania gardła. – Płytko i w dodatku agresywna...

– Mówiłam ci już, że ją uwielbiam? – spytała Sophia Lucasa, który zaśmiał się głośno. – A skoro już jesteśmy przy ślubach... Kiedy wy zamierzacie pójść do ołtarza?

Poczułam nagłą falę gorąca i pieczenie wokół uszu, a kiedy zaczęłam formułować jakąś ripostę, zobaczyłam, że pytanie nie było skierowane do mnie, tylko do jej kuzyna. Wypuściłam powietrze z płuc i szybkim ruchem sięgnęłam po szklanę, po czym wzięłam wielką dolewkę zombie. Wielka dolewka zombie, ta nazwa z czymś mi się kojarzy...

Ale zaraz, dlaczego w ogóle zamarłam? Dlaczego przejmowałam się tym, że zapyta mnie, czy ja i Simon zamierzamy się kiedykolwiek pobrać? Pobierzmy się, jak będziemy mieli na to ochotę. Prawda?

Kiedy próbowałam zrobić porządek z moim atakiem paniki, nasze spojrzenia się spotkały. Wszystko zauważył i znał mnie na tyle dobrze, żeby wiedzieć, o czym myślę. Uśmiechnął się zadowolony, że mnie na tym przyłapał, a ja przewróciłam oczami i próbowałam zachowywać się naturalnie, czyli zaczęłam uważnie wsłuchiwać się w dyskusję.

– Jak to? To znaczy, że nie zamierzacie się pobrać? Nigdy? – zapytała Sophia, patrząc to na Chloe, to na Lucasa.

– Spokojnie. Nie ty o tym decydujesz – rzucił Neil i wzruszył ramionami.

– Nie, w porządku... Nie planujemy brać ślubu, a przynajmniej nie w najbliższym czasie.

Oboje byliśmy już kiedyś zaręczeni, oboje przechodziliśmy przez planowanie ślubu i oboje wiemy, jak to jest. I na razie jesteśmy zadowoleni z tego, co mamy – powiedział Lucas i pocałował delikatnie Chloe w policzek.

– No właśnie, po co mamy coś zmieniać, skoro jest dobrze tak, jak jest? – zapytała Chloe. – Ponieważ byliśmy zaręczeni z niewłaściwymi osobami, być może pewnego dnia spotkamy się przed ołtarzem. Ale na dziś nie mamy takich planów.

– Nie ufam dziewczynom, które nie marzą o białej sukni – powiedziała Sophia, a ja delikatnie pacnęłam ją w rękę.

– Bardzo często ubieram się na biało. Wyobraź sobie, że twój kuzyn ma hopla na punkcie pin-up girls w białych, sznurowanych gorsetach – zripostowała Chloe.

– Wystarczy!

– Super! – krzyknęli równocześnie głośno Sophia i Neil.

Rozmowa na temat gorsetów rozkręciła się na dobre, a ja zaczęłam rozmyślać nad tym, co powiedziała Chloe. Skoro wszystko było w porządku, po co to zmieniać? Wyglądało na to, że w ich przypadku świetnie się to sprawdza i sprawdzało się też w przypadku moim i Simona. Hmm...

Stałam na balkonie i podziwiałam fale. Powstawały jeszcze poza moim polem widzenia, gdzieś w mroku nocy, i każda z nich rosła powoli, niemożliwa do powstrzymania. Gdy osiągały szczyt, białe, najpierw tylko na krawędziach, a później na całej linii, i uderzały o skały. Patrzyłam, jak podążają z góry ustaloną ścieżką, jedna po drugiej. Każda zaczynała się tak samo i każda tak samo się kończyła. Każdego dnia, tygodnia, miesiąca, przez wieczność.

Fala nie może zmienić kursu. Nie może spontanicznie zdecydować: hej, dzisiaj popłynę na południe, do Meksyku, zobaczę, co tam się dzieje. Jedyne, co mogło sprawić, że popłynę gdzieś indziej, to siły przyrody. Huragan. Trzęsienie ziemi. El Niño. W każdym innym przypadku fale kierowały się zawsze do brzegu. Według powtarzalnych przyływów i odpływów można regulować zegarki. Nieuchronne. Nieodwołalne. Niezmienne.

Myśli. Chociaż ciężko siedzieć nad brzegiem oceanu i myśleć o rzeczach najbardziej istotnych, moje myśli zawsze zbaczały na pochmurne tory, osiągając w końcu stan melancholii. Dlaczego?

– Kochanie, jest potwornie zimno, nie marzniesz przypadkiem? – krzyknął ze środka Simon.

– Prawdę mówiąc, jest całkiem przyjemnie. Świeże powietrze dobrze mi robi! – zawołałam.

Słyszałam jego kroki – kierował się w stronę balkonu.

– Koszmarnie zimno...

– Jeśli tak sądzisz, to chodź i ogrzej mnie – odpowiedziałam i delikatnie zakołysałam biodrami. W ciągu kilku sekund poczułam na nich jego dłonie. Przytulił mnie mocno, rękoma objął moją talię, a ja wtuliłam się w niego. – Ależ to przyjemne.

– To prawda – powiedział i wtulił twarz w moje włosy. – O czym tak tutaj rozmyślałaś całkiem sama?

– Po prostu patrzyłam na fale – powiedziałam i lekko pociągnęłam go za rękę, żeby zacieśnił objęcia wokół mnie.

– Ty nigdy po prostu nie patrzysz na fale, Caroline. Zawsze rozmyślasz.

– Czasami zdarza mi się tylko patrzeć. Czyż nie są piękne? – powiedziałam, próbując objąć wzrokiem horyzont.

Fale, plaża, niebo pełne gwiazd...

– Są piękne – zgodził się. – Ale wiem, że o myślałaś o czymś poważnym. Wzdychałaś co trzydzieści sekund.

– Naprawdę? – zdziwiłam się.

– Tak, stąd wiem, że coś ci chodzi po głowie. Masz nieregularny oddech, kiedy trapi cię jakiś problem, dziecinko.

– Poczekaj, jak to? – odwróciłam się i spojrzałam mu prosto w twarz.

– Myślisz, że nie znam cię na tyle dobrze, żeby wyczuć, że nad czymś główkujesz? – zapytał i pocałował mnie w nos. – No dawaj, wyrzuć to z siebie: o czym tak rozmyślałaś na tym balkonie?

Odruchowo westchnęłam, na co on tylko zmarszczył czoło, próbując się nie roześmiać. Spojrzałam na niego i przewróciłam oczami.

– No dobrze, niech ci będzie – westchnęłam. – Może faktycznie o czymś rozmyślałam.

– Chciałabyś mi o tym opowiedzieć? – zapytał, a ja skorzystałam z okazji i przytuliłam się do jego piersi. – Czyli nic mi nie powiesz?

– Nie, to nie o to chodzi. Nie myślałam o niczym konkretnym... Przez moją głowę przelatywały po prostu luźne pomysły, nie zdążyłam się nad nimi dłużej zastanowić. To nawet nie były myśli, tylko... szkice.

– Rety, naprawdę próbujesz się z tego wykręcić – zaśmiał się. – To może zaczniemy od tych szkiców... Co jest, kochanie?

– Czy kiedykolwiek patrzyłeś na fale i zastanawiałeś się, co by było, gdyby jedna z nich chciała popłynąć w innym kierunku niż pozostałe?

– Czy oglądałem fale? Tak. Czy próbowałem przypisać im myśli charakterystyczne dla istot obdarzonych inteligencją? Nie. – Spojrzał mi w oczy. – Ale jestem ciekaw, co ty o tym sądzisz. Jakie, twoim zdaniem, fale mają myśli?

– W sumie nie chodzi o fale jako takie... Raczej o to, że one nie mają wyboru. Muszą podążać wyznaczoną ścieżką. Wszystkie drogi prowadzą na plażę.

– Cóż za fatalne przeznaczenie – rzucił, a ja kopnęłam go w kostkę.

– Pytałeś mnie, o czym myślałam. Właśnie o tym. Nie obiecywałam, że to będzie miało sens ani że mam jakieś gotowe teorie – powiedziałam, a on przytulił mnie jeszcze mocniej.

– Dziewczynko w Różowej Pizamce, twoje myśli mają bardzo dużo sensu, szczególnie biorąc pod uwagę dzisiejsze wydarzenia po obiedzie.

– Czyli?

– Mam na myśli panikę na twojej twarzy, kiedy myślałaś, że to ciebie pytają, czy zamierzamy się pobrać. A teraz rozmyślasz o falach, które nie chcą podążać utartą ścieżką. To nie jest aż takie trudne do połączenia. Znamy się nie od wczoraj.

Czułam, że się uśmiecha, i bardzo pragnęłam, żeby przytulił mnie jeszcze mocniej, tak mocno, jak tylko się da.

– Wcale nie panikowałam, po prostu byłam zaskoczona. Ale kiedy się okazało, że to nie o mnie, nie o nas... Nie wiem, ja po prostu... Chyba nie byłam gotowa, żeby odpowiadać na to pytanie.

– A co by było, gdybym to ja ci je zadał?

– Ale... jak to? – Podniosłam wzrok i spojrzałam na niego. Jego ciemnoniebieskie oczy wpatrzone we mnie miały teraz jeszcze większą głębię. Obserwował, czekał na moją reakcję. – Caroline, chyba nie prosisz mnie o...

– Nie, nie proszę cię o nic... Chciałem tylko zapytać, co o tym sądzisz, tak ogólnie. I bez paniki, proszę.

– Nie panikuję. Jestem absolutnie spokojna – powiedziałam, po czym zademonstrowałam swój najlepszy tik nerwowy.

– Ale to seksowne, kotku – zaśmiał się.

– Pytasz mnie, co sądzę o małżeństwie w ogóle, czy masz kogoś szczególnego na myśli?

– Ani o to, ani o to. A może o obie te rzeczy.

Wciąż obejmował mnie w talii, a ja odwróciłam się, by go lepiej widzieć.

– Podoba mi się ten pomysł w ogóle. Myślę również, że stwierdzenie: „Jeśli coś nie jest zepsute, nie ma po co tego naprawiać” też ma wiele sensu. Chloe i Lucas są dobrym przykładem. Ale z drugiej strony pomysł małżeństwa z kimś szczególnym też mi się podoba, chociaż tutaj największe znaczenie ma to, kim byłaby ta osoba. Znasz jakichś kandydatów?

– Być może – odpowiedział i zaczął coraz mocniej mnie przytulać. – To bardzo prawdopodobne.

– Czy jest wysoki? Zabawny? Czarujący? I niesamowicie przystojny? – zapytałam.

– Tak. Ma wszystkie te cechy – rzucił i pokiwał głową z bardzo poważnym wyrazem twarzy, a ja roześmiałam się i stanęłam na palcach, żeby pocałować go tuż pod uchem.

– To powiedz temu kandydatowi, że jeżeli chciałby poznać prawdziwą odpowiedź na to pytanie, to musiałby naprawdę je zadać. Bo to są tylko pogaduszki na balkonie, a mnie już na dzisiaj wystarczy pogaduszek.

– A co powiesz na seks na balkonie?

– To brzmi o wiele lepiej.

Uśmiechnęłam się, a jego dłonie powoli zsunęły się na moje pośladki. Mocno przycisnął mnie do siebie. Gdy nasze wargi się zetknęły, spokojnie, bez pośpiechu, pomyślałam, że mogłabym całować tego mężczyznę do końca życia. Czy było na świecie coś lepszego? Simon i ja gotowi na to, by się rozebrać i oddać igraszkom... Czy jest na świecie cokolwiek, co mogłoby to przebić?

Wyobraziłam sobie taką samą sytuację w przyszłości, tylko że Simon nie rozpinałby mojej koszuli, ale rozwiązywał tasiemki gorsetu. I nie zsuwałby ze mnie dżinsów, tylko koronkowe podwiązki. A zamiast nazywać mnie Dziewczynką w Różowej Piżamce, kiedy językiem schodził coraz niżej mojego pępka, nazywałby mnie swoją żoną.

Jeżeli go zdziwiło, jak bardzo dzika byłam tego wieczoru na balkonie, nie dał tego po sobie poznać, a tylko się tym rozkoszował. Dwa razy. Trzy...

– Jezu, trzy?! Naprawdę, trzy?

– Będzie super!

– To będzie kompletny chaos! Jak ty sobie wyobrażasz jednoczesne wychowywanie trzech szczeniaków, niemowlaka i Neila?

– Czuję potrzebę ustatkowania się. To hormony.

– Albo po prostu jesteś psychiczna.

– Istnieje i taka możliwość – przyznała Sophia w drodze powrotnej do San Francisco.

Rano pojechaliśmy z Simonem na ranczo, żeby się pożegnać z Chloe, Lucasem i szczeniaczkami oraz odebrać Sophię i Neila. Wrócą tu za jakiś miesiąc, kiedy pieski będą już na tyle duże, żeby móc zacząć swoje nowe, miejskie życie.

Mimo że uwielbiałam szczeniaczki, wydawało mi się, że Sophia trochę się pospieszyła z tymi zmianami. Zgadzałam się z nią, że czasami lepiej po prostu zamknąć się, przestać się wtrącać w czyjeś życie i zająć własnymi sprawami, ale i tak uważałam, że brakuje jej piątej klepki.

– À propos psychiki, dzwoniłam do ciebie wczoraj wieczorem, bo puszczała w telewizji *Psychozę*.

– Tak?

– Dzwoniłam trzy razy z rzędu.

– Trzy razy z rzędu działało się też tego wieczoru coś innego – powiedziała, zasłaniając usta, żeby nikt inny nie słyszał.

– Nieżle – powiedziała, również zasłaniając usta, a przy okazji przybiłyśmy sobie po cichu piątkę.

– Cała ta rozmowa o małżeństwach przy obiedzie sprawiła, że zaczęłam trochę panikować i nad tym wszystkim główkować. Ale wszystko dobrze się skończyło. Myślę, że Simon jest chętny, żeby kiedyś wsiąść w małżeński pociąg.

– To stuprocentowo pewne, że poprosi cię o rękę – powiedziała i aż musiałam zatkać jej usta, żeby ją uciszyć.

– Wszystko w porządku tam z tyłu? – zapytał Simon, zerkając w lusterko.

– Jak najbardziej, a wy jak się macie? – powiedziałam niewinnie.

– Rewelacyjnie, od kiedy Simon pozwolił mi być didżejem! – krzyknął Neil, po czym pogłośnił

Def Leppard do granic przyzwoitości.

Szczęśliwie zagłuszyło to też wszystko, co mówiła Sophia, chociaż z drugiej strony było za głośno, żeby kontynuować rozmowę. Zrobiliśmy więc to, co zazwyczaj w takich sytuacjach robią dorosłe kobiety... Zaczęłyśmy wysyłać do siebie SMS-y.

Następnym razem mów trochę ciszej o tych swoich pociągach, prego...

Och, proszę cię, jakby to nie było oczywiste

Nie będzie, dopóki nie będziesz o tym krzyczeć na pół samochodu.

To ty zaczęłaś tę gadkę o pociągach. Ja tylko zwróciłam uwagę na niepodważalny fakt, że twój pan kiedyś zapragnie uczynić cię twoją panią

Wczoraj o tym rozmawialiśmy. Trochę bardziej konkretnie niż zwykle. Po raz pierwszy nie owijaliśmy w bawełnę, tylko uderzyliśmy w sedno

To takie ekscytujące!

To prawda. Ale nie noszę jeszcze pierścionka, więc uspokój się

Ojej, nie rób z tego takiej wielkiej hecy. To oczywiste, że ci się oświadczy. Kocha cię

A ja jego.

Dobra, to się już robi kiczowate

Właśnie. Poza tym chyba powinniśmy zacząć ze sobą rozmawiać, bo chłopaki będą się zastanawiać, co wyprawiamy

Chyba żartujesz. Uwielbiają te wszystkie rockowe gnioty z lat 80. Czują się, jak ryby w wodzie

Mimo wszystko myślę, że powinniśmy po prostu zacząć rozmawiać

A o czym?

O czymkolwiek

OK

– Słyszałaś, że planują rozbudować butik Very Wang na Geary?

Nienawidzę cię...

ROZDZIAŁ TRZECI

Zaczęłam pracę od ułożenia kwiatów, jak w każdy poniedziałek. Czubki kremowych róż były zabarwione na brzoskwiniowo i malinowo. Zrobiłam z nich bukiet, wstawiłam do przezroczystego wazonu, a zielone łodyżki owinęłam liśćmi hortensji. Usiadłam z lewej strony mahoniowego biurka, na którym piął się sympatyczny stosik kolorowych teczek. Każda z nich zawierała opis rezydencji, biur lub innych miejsc z wyceną, paletami, planami, wykresami i próbkami. Każda z nich kryła historię jakiegoś projektu, albo już istniejącego, albo dopiero planowanego. Dziś miałam o nich opowiedzieć Jillian, która właśnie wróciła z Amsterdamu.

Rozkręciła tam mały biznes konsultingowy. Zaczęła od zleceń dla nowych znajomych z miasta, które stało się domem dla niej i Benjamina. Wszystko wskazywało na to, że dobrze się zaadaptowała. Oczekiwała, że w San Francisco zostanie jak najszybciej wprowadzona w to, co się działo pod jej nieobecność. Mimo że utrzymywałyśmy stały kontakt mailowy, kiedy wracała, starała się jak najszybciej wdroić w projekty. Ciągłe jeszcze dopracowywałyśmy ten układ, ale jak na razie wszystko wyglądało całkiem nieźle. Lubiałam, gdy była w biurze. Wszystko wydawało się zupełnie inne, kiedy nie było słyhać stukania jej obcasów.

Wyszłam ze swojego pokoju dokładnie w tym samym momencie, w którym ona pojawiła się za zakrętem. Miała na sobie czarną sukienkę bez rękawów i kozaki z wielbłądziej skóry na niesamowicie wysokich obcasach, a włosy upięła w charakterystyczny koczek. Była opanowana, wypoczęta i wyglądała świetnie. Dało się odczuć, że powrót ją ekscytuje.

– Chodź tu do mnie, dziewczyno! – pisnęła, po czym odłożyła swoją wielką torebkę od Chanel, żeby złapać mnie w swoje ciepłe i skropione perfumami objęcia.

– Tak bardzo się cieszę, że cię widzę! – odpowiedziałam, odwzajemniając uścisk.

– Przywiozłam prezenty – powiedziała, kiedy prowadziła mnie korytarzem do swojego biura, w którym regularnie sprzątano podczas jej nieobecności, żeby powietrze nie zdradzało, że przez pół roku stało opuszczone. Nie mogliśmy sobie na to pozwolić.

– Wiesz, że wcale nie musisz mi przywozić prezentów za każdym razem, kiedy wracasz – rzuciłam, podczas gdy ona wyjmowała z torby kolejne paczuszki.

– Zamiast tyle gadać, lepiej to otwórz. – Postawiła przede mną różowe pudełeczko i skierowała się w stronę dzbanka na herbatę, który stał w rogu. – Mamy może...

– W dzbanku jest wrzątek. Nalałam go dosłownie kilka minut temu.

Wiedziałam, że pierwsze, o czym pomyśli po przyjeździe, to gorąca herbata.

– Jesteś najlepsza.

– Nie jesteś pierwszą, która mi to mówi... A skąd, do licha, to wystraszyłaś?! – krzyknęłam, wyjmując parę kolczyków. Były zrobione z polerowanego niklu i składały się z malutkich koralików w różnych odcieniach różowego, brzoskwiniowego, łososiowego, koralowego i fuksji. Moich ulubionych kolorów.

– Wypatrzyłam je w małym sklepiku w Rzymie i nie mogłam się powstrzymać. Powiedziałam Benjaminowi, że to twoje kolory, a on się uparł, żebyśmy je kupili.

– Benjamin zawsze jest dla mnie tak bardzo kochany...

Zaczęłam się z nią droczyć, próbując oszukać samą siebie, bo to ja zawsze dostawałam wypieków na twarzy, kiedy on pojawiał się w pobliżu. Zresztą nie tylko ja – Sophia i Mimi dzieliły moje, nie tak znowu skrywane, zauroczenie mężem Jillian.

– Po prostu je załóż i przestań odgrywać w głowie scenkę, jak mu dziękujesz. – Jej oczy radośnie błyszczały. – Widziałam foldery na twoim biurku. Chciałabyś iść na lunch i wszystko mi opowiedzieć?

Wtedy poczułam, że Jillian znów jest w mieście. Wszystko nagle znalazło się na swoim miejscu.

Spędziłyśmy popołudnie, pracując w jednej z knajpek w Chinatown, a przy okazji pałaszując skwierczące dania i plotkując na tematy biurowe. Jillian niewiele umknęło, choć była po drugiej stronie oceanu, musiałam ją jednak wtajemniczyć w kilka ploteczek, a kiedy tak sobie rozmawiałyśmy, czułam, że z minuty na minutę staję się coraz bardziej zrelaksowana.

– Opowiedz mi wszystko o weselu – poprosiła, kiedy skończyłyśmy omawiać sprawy związane z pracą.

– Węsłu? – powiedziałam z pałeczkami ustach.

– Tym weselu! Mimi i Ryana!

– Ach, o tym weselu...

– Bardzo żałuję, że mnie nie było, ale mieliśmy tyle pracy w związku z domem w Amsterdamie, że nie było szans, byśmy się wyrwali – powiedziała i zamieszała pałeczkami sos musztardowy. – Założę się, że było idealnie! Wszystko zapięte na ostatni guzik, prawda?

– Czyż mogło być inaczej? – zaśmiałam się.

Mój puls zaczął wariować. Co się ze mną działo?

– A umiała się chociaż tym cieszyć? A może przez cały dzień pilnowała, żeby wszystko szło zgodnie z planem?

– Cieszyła się, i to jak. To był naprawdę udany dzień, nawet pomimo wypadki z sukienką.

– A co się stało?

– Sophia miała potworne poranne mdłości, a właściwie nie tylko poranne, ale i popołudniowe, wieczorne i w środku nocy też... Nagle poczuła się słabo i voilà – wszystko poszło na sukienkę Mimi...

– Chyba żartujesz...

– Chciałabym! Ale znasz Mimi, specjalnie na wesele kupiła drugą sukienkę, więc po prostu założyła ją również na ślub.

– Chyba umarłabym w takiej sytuacji – powiedziała Jillian.

– Kto by nie umarł? Ale ona założyła, że skoro celebrytki mogą kupować dwie sukienki, to i ona powinna – zaśmiałam się, kiedy przypomniałam sobie jeszcze jeden szczegół. – Prawdę mówiąc, była o wiele bardziej zła z powodu butów, bo nie miała zapasowych.

– Jezu, Sophia chyba nie...

– Oczywiście, że tak! Odrobina „pyszości” wylądowała też w jej szpilkach od Jimmy’ego Choo. Myślałam, że Mimi pęknie ze złości. Ale wtedy pojawił się Ryan i cała złość wyparowała z niej w kilka sekund.

Jillian spojrzała na mnie ze zdziwieniem.

– Jak to Ryan się pojawił? Przed ślubem? Myślałam, że Mimi jest bardziej przesądna.

– Och, oczywiście, że jest. Schowała się za drzwiami, więc nie mógł jej zobaczyć. A potem, o mój Boże, to była najśłodsza rzecz na świecie... Ryan zaczął jej mówić, jak bardzo nie może się doczekać, żeby się z nią ożenić i nazywać ją swoją żoną. I nagle wszystko się zmieniło... Buty? Po co komu buty!

– Ach – westchnęła Jillian.

– Całe szczęście nie miała nic przeciwko temu, żeby wziąć ślub na bosaka, bo znając życie, to musiałabym biegać po mieście w poszukiwaniu drugiej pary – zaśmiałam się.

– Wreszcie to zrozumiała...

– Co zrozumiała?

– Że tu nie chodzi o ślub i wesele, ale o małżeństwo. Ona. On. Razem. Poszła do ołtarza boso, bo jedyną rzeczą, na której jej zależało, był on. Ten jedyny. I wymiociny na jej szpilkach nie mogły tego zmienić.

– To prawda, rzeczywiście wyglądała na spokojniejszą – powiedziałam, kiedy przypomniałam sobie wyraz twarzy Mimi. – I może trochę napaloną.

– Pamiętam to doskonale – odpowiedziała Jillian, robiąc maślane oczy.

– W każdym innym przypadku powiedziałabym „fuj”, ale ponieważ chodziło o Benjamina, powiem tylko, że im więcej szczegółów, tym lepiej.

– Cicho. A jak tam się mają sprawy z Simonem?

– Witamy mistrzynię zmiany tematu! – powiedziałam, wymownie kręcąc głową.

– Witamy mistrzynię odwracania kota ogonem! Jak tam sprawy? – zapytała ponownie, bawiąc się leżącą na talerzu marchewką.

– Wcale nie odwracam kota ogonem. Wszystko u nas w porządku.

Uśmiechnęłam się na myśl o seksie na balkonie. I o seksie w przedpokoju zaraz po tym, jak wróciliśmy do domu. O tym pod prysznicem dziś rano i...

– Rzeczywiście, twój wyraz twarzy i to, jak namiętnie przeżuwasz sajgonkę, wskazują na to, że wszystko jest jak najbardziej w porządku – rzuciła wymownie.

– Ej, sama pytałaś...

– To prawda, pytałam. Może ujmę to inaczej: przyjaciele biorą śluby, mają dzieci, a tobie kiedy zabiją dzwony?

Celując w nią chińskim pierożkiem, zapytałam:

– Czy ja mam na czole wypisane „AAA Ślub Prędko za Każdą Cenę?”. Dlaczego wszyscy mnie o to pytają?

– Naprawdę? Wszyscy cię o to pytają?

– Okej, może nie wszyscy, ale mam wrażenie, jakby ostatnio o niczym innym nie rozmawiali. Coś wisi w powietrzu. Wisi we mgle. Możliwe, że wisi nawet w tym pierożku...

– Już najwyższa pora. Wszyscy twoi przyjaciele zaczynają nowy etap w życiu. Kiedy moi zaczęli brać śluby i zakładać rodziny, ja sama nie miałam czasu na randkowanie. Jillian Designs było całym moim życiem. I za każdym razem, gdy szłam na ślub którejś z moich przyjaciółek, wszyscy mnie pytali, kiedy wyjdę za mąż. To już tak jest: jedno z nas rzuca się na głęboką wodę i potem wszyscy musimy – powiedziała, po czym wzięła łyk herbaty. – Przepraszam, że próbowałam i ciebie tam rzucić.

– Nie szkodzi. Widzę, że coś zaczęło się zmieniać w moim otoczeniu. Oczywiście wszyscy ciągle jeszcze bywamy absurdalnie dziecinni, więc ciężko to sobie wyobrazić, nawet jeśli Sophia i Neil będą niebawem odpowiedzialni za, hmm, człowieka. Może i małego, ale jednak człowieka. – Ukryłam twarz w dłoniach, żeby zyskać trochę czasu na przemyślenie tego, co chciałam powiedzieć. – To po prostu dziwne. Wygląda na to, że powoli dojrzewamy.

– Hej, dojrzewanie i bycie dorosłym to dwie zupełnie różne rzeczy. Ciężko mi sobie wyobrazić, że Neil rzeczywiście staje się dorosły. A to właśnie o nim rozmawiamy, co za pech! – zaśmiała się Jillian.

– Czy wolałabyś inaczej wykorzystać tamten czas?

– Co masz na myśli?

– Mówię o latach, w których rozkręcałaś biznes. Gdybyś mogła cofnąć się w czasie, czy zdecydowałabyś się na ślub wcześniej?

– To zależy.

– Zależy od czego?

– Czy poznałabym wcześniej Benjamina. Nie planowałam brać ślubu, zanim go nie poznałam. Potem długo z tym zwlekaliśmy, ale wiedziałam, że pewnego dnia to się stanie. Bo on był tym jedynym. A ja, całe szczęście, byłam na tyle mądra, żeby poczekać, aż pojawi się w moim życiu.

– Uśmiechnęła się do mnie porozumiewawczo. – Czy myślisz, że Simon jest tym jedynym?

Na mojej twarzy błyskawicznie pojawił się szeroki uśmiech.

– O tak, Simon zdecydowanie jest w moim typie.

– Więc nie spiesz się. Rozkoszuj się tym. Myśl o waszej dwójce, a przyjaciele niech sobie robią, co chcą. Małżeństwo dla każdego oznacza coś innego i nie każdy musi się na nie decydować. Niektórzy chcą papierka, inni go nie potrzebują. Kto ma decydować o tym, która z dróg jest słuszna? Na pewno nie ja. – Szybko dopiła herbatę i skinęła na kelnera. – Za to jeśli chcesz wiedzieć, którą sofę powinna wybrać Peggy Wimple do pokoju telewizyjnego, odpowiem ci z przyjemnością. Bo ty na pewno dokonałaś złego wyboru – zaśmiała się, przy okazji krytykując projekt, do którego rzeczywiście niedawno zamówiłam sofę. – Teraz ci pokażę, dlaczego to ja jestem Jillian w Jillian Designs...

Zrobiła dokładnie to, co obiecała, a kiedy skończyła, nie miałam innego wyjścia, niż przyznać jej rację.

W domu, kilka dni później.

- Kochanie, gdzie się podziały wszystkie nasze miniołówki?
- Simon, jesteś chyba pierwszą osobą na świecie, która wypowiedziała takie zdanie.
- Mam na myśli te, które dodawali do Scattergories^{**}. Gdzie one się podziały?

^{**} Scattergories – popularna gra amerykańska, podobna do Inteligencji.

– Ach, te... Wydaje mi się, że Mimi je połamala wczoraj wieczorem. Wiesz, że ona nie potrafi przegrywać.

Zaprosiliśmy dzisiaj wszystkich do siebie na gry. Wiedzieliśmy, że jak pojawi się dziecko, ciężko nam będzie się zebrać całą naszą paczką, więc korzystaliśmy z okazji, póki jeszcze mogliśmy.

– Dlaczego to zawsze my musimy organizować te spotkania? – zapytał Simon, opierając głowę o drzwi łazienki, kiedy ja próbowałam się ubrać i umalować.

– Ponieważ chwilowo mamy największy dom i najlepszą przestrzeń do zabawy – odpowiedziałam, nakładając tusz do rzęs.

– Wyglądasz jak ryba...

– Że co?

– Kiedy nakładasz tusz do rzęs. Otwierasz buzię i wyglądasz jak ryba, która czeka na przynętę. O co w tym chodzi?

– Tylko tak da się go nałożyć.

– Ale dlaczego?

– Tego nie wie nikt, Simon. Po prostu tak już jest.

– Taka zasada?

– Przestań mnie zagadywać, kiedy wyglądam jak ryba, i pozwól mi się w spokoju wyszykować – jęknęłam, a Simon zniknął za rogiem.

Spróbowałam nałożyć tusz na rzęsy z zamkniętymi ustami, ale to naprawdę było niemożliwe.

Kiedy sięgałam po błyszczący, głowa Simona znów wychyliła się zza rogu.

– A tak przy okazji, zostaliśmy zaproszeni do Filadelfii.

– Do stolicy cheesesteaków***? Jeżeli tak, to ja jadę!

*** Cheesesteak – kanapka na ciepło w bułce pszennej z mięsem à la kebab i topionym serem. Jej pomysłodawcami byli restauratorzy z Pat's King of Steaks z Filadelfii.

– Na cheesesteaki, czy po to, po co naprawdę zostaliśmy zaproszeni?

– Skoro mówię, że jadę, to nie ma znaczenia – po prostu jadę. Ale skoro już o tym wspominasz, to po co właściwie jedziemy?

Miałam nadzieję, że nie zauważył, że autentycznie pociekła mi ślinka.

– Pamiętasz mojego znajomego z czasów liceum, Trevora? I Megan, jego żonę?

– Żartujesz sobie, prawda?

– Czyli pamiętasz? – zapytał, rzucając mi zaciekawione spojrzenie.

– Najważniejszy przedmiot w tym domu zawdzięczam Megan.

– Masz na myśli nowy wibrator?

– Boże...

– A, mówisz o książce kucharskiej, racja – przypomniał sobie Simon.

Megan pracowała kiedyś w Food Network i udało się jej załatwić dla mnie egzemplarz książki *Iny Garten*, która prowadziła program *Bosonoga Contessa*. Z dedykacją dla mnie, pozwolę sobie zaznaczyć, nie jedną z tych w stylu: „najlepsze życzenia, Ina”. Przysięgam, że napisała: „Dla Caroline – najlepsze życzenia, Ina”.

Tak, zazdroście. Poczekam.

– Czyli pamiętasz Megan.

– Czy ją pamiętam? Czy ty mnie naprawdę w ogóle słuchałeś, kiedy mówiłam, że absolutnie najważniejszą...

– Tak, kochanie, słuchałem. A czy ty jesteś choć odrobinę ciekawa tego, co wymyślili, czy zamierzasz przez najbliższe kilka godzin marzyć o Inie i jej kuchni?

– I o mnie w tej kuchni. Jeżeli próbujesz przejrzeć mnie na wylot, musisz być precyzyjny. Stoimy razem z Iną w kuchni restauracji Hamptons i gotujemy coś wyjątkowego dla ciebie i Jeffrey'a, jej męża. Pewnie byłoby to coś z pieczonym kurczakiem... Wreszcie dowiedziałabym się, jak go idealnie przyrządzić. Do tego może pieczone marchewki. Ona ma taki piękny nowojorski akcent, gdy o nich mówi: mrrrchewki...

– Czasami trochę się o ciebie martwię – powiedział Simon, sprawdzając, czy aby na pewno nie mam gorączki.

– Ale ja czuję się świetnie! O mnie się nie martw. Fantazjowanie dokończę później. To o co chodzi z tą Filadelfią?

– Och, jesteś pewna, że teraz moja kolej? – zapytał, a ja szybko go pocałowałam.

– Przepraszam kochanie, opowiedz mi wszystko o Trevorze i jego kochanej żonie – rzuciłam. Żartowałam, bo w rzeczywistości bardzo lubiłam ich oboje. Kiedy byliśmy rok temu w rodzinnych stronach Simona z okazji dziesięciolecia ukończenia szkoły, przywitano go tam jak bohatera. Niedługo po tym, jak skończył liceum, jego rodzice zginęli w wypadku samochodowym i przez te wszystkie lata nie wrócił do miasta ani razu. Nie miał kontaktu z nikim stamtąd i na początku się denerwował, jak zostanie przyjęty, ale szybko się okazało, że wszyscy są bardzo podekscytowani jego powrotem. Simon miał swoją paczkę, którą ja nazywałam świtą – koledzy z dawnych lat: Matthew, Mark, Luke i John. Dowodził nimi jego najlepszy przyjaciel, Trevor. Większość imprezy spędziliśmy z jego żoną, Megan, która wtedy była w ciąży z ich pierwszym dzieckiem.

– Jak im się wiedzie z nowym dzidziusiem?

– Chyba wystarczy, jak powiem, że znowu jest w ciąży – powiedział Simon, a ja z wrażenia upuściłam błyszczyk.

– Obawiam się, że w naszym kraju zaczęli dodawać czegoś do wody. W każdym razie przerzucam się na wódkę.

– Jestem za. Po wódce robisz się szalona i napalona. I żadna przygód. Jeśli będziesz pić tylko wódkę, pewnie uda mi się namówić cię na coś, na co nigdy mi nie pozwalałaś.

– Tego nie dostaniesz, nawet jeśli wypiję cały światowy zapas wódki, zapomnij, Simon – rzuciłam i dźgnęłam go błyszczkiem. – Czyli Megan znowu jest w ciąży... Pogratuluj im ode mnie.

– Stąd właśnie to zamieszanie. Zaprosili nas na chrzest dziecka numer jeden i świętowanie pojawienia się dziecka numer dwa. To w przyszłym miesiącu. Myślisz, że będziesz mogła wziąć trochę wolnego?

– Na cheesesteaki? To znaczy, na chrzciny? Tak, jestem jak najbardziej za. – Już się zabierałam za nakładanie błyszczyka, kiedy zadzwonił dzwonek do drzwi. – Świetnie, ktoś przyszedł przed czasem... Mógłbyś pójść otworzyć i przy okazji wziąć parę kredek z mojej torebki?

– Po co?

– Scattergories...

– Racja! – krzyknął i dał nura do sypialni.

Skorzystałam z chwili samotności i zaczęłam nakładać błyszczyk, rozmyślając o Megan i Trevorze. Dwójka dzieci w dwa lata. Zanim wzięła ślub, robiła karierę w Food Network, co dla wielu było pracą marzeń, ale jej prawdziwym pragnieniem było mieć rodzinę i wyglądało na to, że postanowiła je spełnić. A teraz znów spodziewała się dziecka. Zamiast kreować artystyczne stylizacje serów i pracować nad tym, by ptysie były jeszcze lżejsze, wycierała dziecku buzię i sprzątała z podłogi grzechotki.

Nagle przypomniało mi się, jak Simon nadepnął na grzechotkę, którą Clive kiedyś sobie przywłaszczył i rzucił mu pod nogi. Zaśmiałam się. Dzieci, dzieci, wszędzie wokół dzieci

i żadnej wódki. Skończyłam malować usta, przekręciłam nakrętkę błyszczyka i wzięłam głęboki oddech. Odsunęłam od siebie myśli o grzechotkach i zanurzyłam się na chwilę w marzeniach o cheesesteakach, które gwałtownie przerwał okrzyk Simona:

– Głupki przyjechały!

Hm, to mógł być właściwie każdy – znaliśmy sporo głupków. Chyba nadszedł czas, żby dokopać im w Scattergories...

Jak zwykle podczas gier poląła się krew. Dziewczyny dały ciała, i to bardzo. Tak, wiem, że to brzmi dwuznacznie, ale to prawda. Dałyśmy ciała wielkiemu panu o imieniu Scattergories. I Pictionary. I Apples to Apples^{****}, chociaż równie dobrze ten ostatni mógł się nazywać Jajo do Jaja, bo chłopaki ograli nas do jaja. A kiedy wszyscy już sobie poszli, Simon zadarł moją spódniczkę, robiąc sobie ze mnie zwycięską ucztę i... hmm... to było bardzo przyjemne.

^{****} Pictionary, Apples to Apples – popularne amerykańskie gry planszowe.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Audycja została wyemitowana w filii San Francisco NBC, KNTV...

– Bay Area! Cześć, tu Neil. Nadaję ze stadionu Levi, gdzie chłopaki z Czterdziestej Dziewiątej spotkali się z Seattle Seahawks, swoimi najniebezpieczniejszymi rywalami z Dywizji Wschodniej NFC. Będziemy z wami, kiedy na boisku zaczną się ważyć losy tych dwóch wielkich drużyn. Zanim jednak wyjdą na ruszt, obejrzymy zupełnie inną rozgrywkę. Mówię oczywiście o kolejce po przekąski. Frankfurterki czy kielbasa z rusztu? Hot dogi czy wursty? Dajemy kibicom wolną rękę, niech pokażą, na co ich stać w kolejkach po bułki, podczas gdy my spróbujemy najlepszych przekąsek na świecie. Jest z nami Marcus O'Reilly, mieszkaniec Bay Area i wieloletni dostawca hot dogów. Właśnie potwierdził, że podczas rozgrywek futbolu amerykańskiego nie ma nic lepszego niż dobry hot dog. Zgadza się, Marcus?

– Oczywiście, Neil. Prawdziwy hot dog pokona każdego wursta.

– To mocne słowa, Marcus, a ja zamierzam zaraz wziąć potężnego gryza tej parówki... Ale jest z nami również Angus Wheelwright, fan wurstów, który, jak rozumiem, ma także tytuł mistrza w amatorskim kick-boxingu?

– Zgadza się, Neil. I jestem tutaj, żeby wam powiedzieć, że moje wursty skopią tyłek każdej parówce na świecie, niezależnie od dnia i godziny. Pokaż, na co cię stać, chłopaczku od hot dogów!

– Hola, koledzy, miejscem walki niech pozostanie boisko, dobra? W końcu jesteśmy tutaj, żeby rozkoszować się pysznymi kielbaskami przed meczem i... Przepraszam, co się dzieje? Wybaczcie, panowie, ale właśnie dostałem wiadomość z ostatniej chwili o... dziecku i... porodzie... w vanie? Jakaś sprzeczka w związku z... porodem? Chyba czas oddać głos do studia. Zaraz, zaraz, kto rodzi? Sophia? Moja Sophia? Czekaście, biegnę do was! John! Daj mi kluczyki! Daj mi kluczyki, żebym mógł...

W tym momencie dźwięk został wyłączony, a kamera oddaliła się, żeby pokazać dwóch skonsternowanych entuzjastów kielbasek, trzech skonsternowanych członków ekipy filmowej i całe zastępy kibiców, którzy bardzo chcieliby zostać pokazani w telewizji. Wszyscy patrzą, jak van KNTV odjeżdża w stronę rampy, ze spanikowanym dziennikarzem sportowym za kierownicą. Ostatnia scena, jaką widzimy, to ujęcie dziennikarza krzyczącego przez okno na kierowców: „Z drogi, tu pogotowie porodowe!”, „Z drogi, na Boga!” i „Będę miał dziecko! Woouooooow!”.

– Znowu to oglądasz?

– Nie mogę przestać. Po prostu nie mogę. To jest fantastyczne!

– To prawda, niezłe. Ile już ma wyświetleń? – zapytał Simon.

– Hm, wygląda na to, że... Chryste, już ponad trzydzieści tysięcy!

Moment, w którym Neil się dowiedział, że Sophia rodzi, stał się hitem YouTube'a w kilka godzin. Ktoś umieścił go w sieci zaledwie parę minut po tym, jak został wyświetlony w Bay Area i nikt w mieście nie mówił o niczym innym. Sophia wysłała mnie i Mimi SMS, więc byliśmy już w drodze do szpitala, kiedy wydarzył się ten incydent.

Nie mogła się skontaktować z Neilem, więc poinformowała producenta, który, niezbyt roztropnie, postanowił go zawiadomić w trakcie trwania programu. Neil nie potrafi się skupić na kilku rzeczach jednocześnie, więc na ogół rzadko zdarzało się, że przekazywano mu informacje, gdy prowadził relacje na żywo. Ale ponieważ Sophia rodziła, zaryzykowali...

A teraz cały świat mógł się dowiedzieć, co się stało. Jego porwanie telewizyjnego vana i debata pod tytułem „hot dogi kontra wursty” stanęły na najwyższym stopniu komediowego podium. Na szczęście Neil miał tylu fanów, że stację zalały głównie e-maile, w których ludzie życzyli jemu i Sophii szczęścia z okazji narodzin dziecka.

Tymczasem ja, Simon, Mimi i Ryan siedzieliśmy w poczekalni w szpitalu.

A ja nie mogłam przestać oglądać klipu.

– Awansował teraz na prawdziwą gwiazdę internetu – zaśmiałam się i po raz kolejny odświeżyłam stronę. – Trzydzieści pięć tysięcy. To szaleństwo!

– Ciekawe, ile z tych wyświetleń to nasza sprawka – rzucił Ryan, oglądając film na swoim telefonie.

– Co najmniej sto – powiedziała Mimi, która akurat oglądała go na iPadzie.

Simon usiadł obok mnie, ale zaraz wstał, podszedł do dyżurki, wyjrzał na korytarz, po czym wrócił i usiadł.

– Uspokój się, kochanie. Jak będzie trzeba, to na pewno nas zawołają.

– Wiem, wiem – odpowiedział, po czym znów spojrzał w stronę dyżurki. – O ile wyprzedziła termin?

– O tydzień. Wszystko jest w porządku – powiedziałam i położyłam jego rękę na swoim udzie.

– Wiem, wiem – powiedział i mocno chwycił mnie za rękę. – Pójdę po kawę, chcecie coś?

– Dziękuję, kochanie, ale idź. I zabierz Ryana.

Przytaknął, ścisnął moją dłoń i poszli z Ryanem w stronę kafejki, a Mimi usiadła na podłodze przede mną i oparła się o moje uda.

– Pobaw się moimi włosami – rozkazała, zdjęła gumkę i zamachała głową. Przeczesałam jej włosy i zaczęłam zaplatać je w warkocz. Uwielbiała to.

– Simon strasznie się denerwuje.

– Za każdym razem, kiedy ktoś z bliskich trafia do szpitala, jest trochę roztrzęsiony. Wydaje mi się, że on nawet nie zdaje sobie z tego sprawy – odpowiedziałam, patrząc w stronę drzwi, za którymi zniknął mój chłopak. – Uspokoi się, jak tylko mu powiedzą, że z mamuszką wszystko w porządku.

– To niesamowite. Wiesz, dzisiaj rano Sophia była po prostu Sophią. A wieczorem będzie czyjaś mama.

– Może nawet już nią jest.

– Cholera, masz rację – powiedziała Mimi, po czym skrzyżowała nogi i wyprostowała się. – Zawsze myślałam, że to ja pierwsza będę mieć dziecko.

– My też tak myśleliśmy – zaśmiałam się.

– Staramy się, wiesz?

– Nie miałam pojęcia! Jak długo?

– Właściwie już po podróży poślubnej przestałam zażywać tabletki. Najpierw chcieliśmy trochę poczekać, ale obojgu nam się marzy rodzina, więc pomyśleliśmy, że czas zacząć! W końcu raz się żyje! – Zerknęła na mnie przez ramię. – I uwierz mi, naprawdę się staramy...

– Zuch dziewczyna – powiedziałam i delikatnie pociągnęłam ją za warkoczyki.

– Nie chciałam nikomu mówić, dopóki ona nie urodzi. Nie chciałam zepchnąć jej ze sceny.

– Ale zdajesz sobie sprawę z faktu, że nie możesz zepchnąć jej ze sceny, dopóki sama nie masz dziecka, prawda?

– No tak – powiedziała i odwróciła się w stronę drzwi, przez które weszli faceci.

– Jakieś wieści? – zapytał Ryan, niosąc tackę z kawą. – Wzięliśmy więcej na wypadek, gdybyście zmieniły zdanie.

– Jeszcze nic nie wiadomo – powiedziała Mimi, po czym zerwała się z podłogi i wzięła od niego kubek. – Chodź, pooglądamy noworodki przez szybę.

– Jak się czujesz? – zapytałam Simona, a on podał mi kawę i usiadł obok.

– Ja? W porządku. Czemu pytasz? – odpowiedział, a ja wskazałam na jego nogi, którymi cały czas nieświadomie przebierał. – No, może trochę się denerwuję.

– Widzę – westchnęłam i położyłam głowę na jego ramieniu.

Siedzieliśmy przez chwilę, nic do siebie nie mówiąc.

– Nie cierpię szpitali – powiedział. – Po prostu ich nie cierpię. Nawet jeśli czekam na dobre wieści, a ta oczywiście taka będzie, to i tak nie cierpię szpitali.

– Wierzę ci – wyszeptałam i przytuliłam go.

Nie powiedział nic więcej. Nie musiał. Kilka minut później Mimi i Ryan wrócili, a później z za dyżurki wychylił się Neil w fartuchu, z uśmiechem wielkości banana.

– Chcecie zobaczyć moją córkę? – zapytał.

Mary Jane: 2800 gramów, 49 centymetrów. Mała, różowiutka, z dziesięcioma perfekcyjnymi

paluszkami u rąk i nóg. I całkiem donośnym głosem. Nie zostaliśmy długo, bo w międzyczasie pokój szpitalny wypełnił się babciami i dziadkami, zostaliśmy jednak na tyle długo, żeby zobaczyć Sophię i dzidziusia. Wszyscy mogliśmy przez chwilę potrzymać małą. Wyściskaliśmy Neila, którego od razu nazwaliśmy Panem Płaczą Jak Dziecko. Wiele razy padło słowo „stary”, było dużo przytulania i klepania po plecach. Kiedy wyszliśmy od świeżo upieczonych rodziców, byliśmy kompletnie wykończeni.

Powiedzieliśmy „dobranoc”, a właściwie „dzień dobry” Ryanowi i Mimi i wjechaliśmy na most do Sausalito. Zaczynało świtać – na niebie powoli pojawiał się delikatnie jaśniejszy szary pasek. Simon się nie odzywał, chociaż w szpitalu sprawiał wrażenie wesołego. Nie chciał wypuścić Mary Jane z rąk. Był taki delikatny i słodki. Zdenerwowany, ale pełen dobrych chęci. Czy się wzruszyłam? Dobry Boże, oczywiście, że tak. Simon trzymający na rękach dziecko? Czułam się tak, jakby wybuchła we mnie bomba słodczy. Mimo to teraz był cichy. Zamyślony.

Otworzyłam drzwi, szykując się na to, co miało teraz nastąpić. Pierwsza była Norah, nasza urocza triolorka. Podbiegła do mnie, położyła się u moich stóp i zaczęła przewracać się z boku na bok, ciesząc się, że jej ludzie wrócili. Kilka sekund później pojawiła się Ella, smukła i piękna. Podeszła prosto do Simona, jak zwykle. To był ten rodzaj kota, który nie znosił konkurencji. Tolerowała mnie, ale to Simon był jej wybrankiem. Zaraz potem usłyszeliśmy na schodach tupot łapek Dinah, która miauczała ile sił, jakby chciała powiedzieć: „Nareszcie, nareszcie, gdzie byliście? Nareszcie! Dlaczego w ogóle was nie było? Nareszcie! Dlaczego wy w ogóle gdzieś wyjeżdżacie?”.

– Hej, dziewczyny, jak się macie? Tęskniłyście? – rzuciłam, podnosząc jednocześnie Norah i Dinah, podczas gdy Ella tęsknie czekała, aż Simon weźmie ją ręce, jakby to tam było jej miejsce.

Na podeście, tuż za rogiem, siedział Clive. Mył łapki i od czasu do czasu rzucał nam niewzruszone spojrzenie. Kiedy w zeszłym roku uciekł, byliśmy załamani. Nie było go przez cztery tygodnie i przez cały ten czas nie przestawaliśmy go szukać, chociaż szanse na to, że wróci, zmniejszały się z każdym dniem. Aż tu nagle, zupełnie niespodziewanie, pojawił się w ogródku i znów zagościł w naszym życiu. Okazało się, że nie podróżował samotnie. Wręcz przeciwnie, nasz chłopak nie próżnował. Do domu wrócił z trzema dziewczynami. I jakkolwiek głupio to zabrzmiało, zaadoptowanie trzech dodatkowych kotów okazało się dla nas doskonałym rozwiązaniem. Clive miał swój harem, a my mieliśmy rozrywkę.

– Jesteś głodny? Mogę zrobić ci coś do jedzenia – zaproponowałam, kiedy wchodziliśmy do kuchni, gdzie Clive do nas dołączył, powoli ocierając mi się o kostki.

– Chyba nie – odpowiedział Simon, wyglądając przez okno na zatokę.

– W porządku. W takim razie pójdę jeszcze na szybki prysznic, a potem się położę.

– Dobrze, kochanie – rzucił.

Zanim poszłam na górę, podeszłam jeszcze do niego.

– Kocham cię – wyszeptalam, całując go w szyję.

– Ja ciebie też – odpowiedział.

Zostawiłam go przy oknie z myślami, jakiekolwiek one nie były. Spotykałam się z nim na tyle długo, żeby wiedzieć, że czasami zamyka się w sobie i potrzebuje побыć przez chwilę sam, żeby poradzić sobie z emocjami. Na przykład dzisiaj. Kiedy będzie chciał porozmawiać, przyjdzie.

Gdy wchodziłam po schodach, resztkami sił poprawiłam wiszący na ścianie obraz. Mieszkaliśmy w północnej Kalifornii, więc może nie odczuwaliśmy każdego wstrząsu, ale ciągle musiałam wyrównywać obrazy. Zawsze kiedy otwierałam drzwi naszej sypialni, głęboko wzdychałam. Na przepięknej podłodze z ciemnego drewna leżał miękki dywan, w oknach z widokiem na zatokę i San Francisco wisiały ciężkie firany. Zrzuciłam buty i ubranie, a potem weszłam do łazienki. Włączyłam prysznic parowy i ziewając, sięgnęłam po szczotkę do włosów, żeby je rozczesać, zanim staną się mokre. Myślałam, żeby wziąć sobie dzień wolnego i poleżeć w łóżku. Byłam kompletnie wykończona. Kiedy usłyszałam, że Simon wchodzi po schodach, zawołałam do niego:

– Właśnie wchodzę pod prysznic! Tak tylko mówię, bo może chcesz dołączyć, kochanie. Wiesz, żeby oszczędzać wodę. Żadnych dwuznaczości.

Usłyszałam, że przyspiesza, więc szybko weszłam pod prysznic. Stałam z zamkniętymi oczami i rozkoszowałam się ciepłą wodą na moich zmęczonych mięśniach. Słyszałam, jak wszedł do pokoju, pospiesznie ściągnął buty, rozpiął pasek, a potem zsunął dzinsy na podłogę. Słyszałam, jak otwiera drzwi kabiny. Uniosłam dłonie, zaczesalam włosy do tyłu i odchyliłam głowę. Owszem, byłam zmęczona, ale nigdy nie byłam na tyle zmęczona, żeby nie chcieć jego dłoni, jego ust i wszystkiego tego, co miał mi do zaoferowania. Więc stałam wygięta w łuk i czekałam. Kiedy w końcu otworzyłam oczy, stał tuż obok. Patrzył na mnie... Był spięty.

– Kochanie? – zapytałam i oparłam dłonie na jego karku, a on objął mnie w pasie, mocno zaciskając palce. – Wszystko w porządku?

Staliśmy pod strumieniem wody, a nasze wilgotne ciała przylegały do siebie spowite delikatną mgiełką. Nagle prysznic zniknął i cały świat zniknął. Zostaliśmy tylko ja i Simon. Otworzył usta, które zwilżone strużką wody wydały mi się bardzo atrakcyjne, ale zanim zdążyłam go pocałować, powiedział:

– Wyjdź za mnie.

Stwierdzenie. Nie pytanie.

– Wyjdź. Za mnie – powtórzył, patrząc mi głęboko w oczy.

Wzięłam głęboki oddech, bo zaczęło dzwonić mi w uszach. Puls przyspieszył, serce zaczęło walić jak oszalałe, a ja usiłowałam na szybko sobie przypomnieć, jak się oddycha. Byłam kompletnie mokra i próbowałam złapać oddech.

– Pragnę cię. Pragnę tego, co oni dzisiaj przeżyli. Pragnę tego wszystkiego i chcę tego z tobą. Chcę, żebyś była moją żoną. Mam pierścionek i dam ci go, jeśli tylko powiesz „tak”. –

Z każdym słowem zacieśniał uścisk na moich biodrach, desperacko, szaleńczo spragniony. – Miałem to wszystko zaplanowane o wiele piękniej i romantyczniej, bo na to zasługujesz, ale od wczoraj, kiedy zobaczyłem, jak mój najlepszy przyjaciel kradnie samochód, żeby poznać nowego członka swojej rodziny, mam mętlik w głowie. I to jest dokładnie wszystko to, czego ja chcę i kiedykolwiek chciałem. Kiedy wchodziłem po schodach i wiedziałem, że jesteś, czekasz tu na mnie zupełnie naga, zrozumiałem, że nie mogę zwlekać, odkładać tego ani minuty dłużej i muszę poprosić cię o rękę. A więc... Wyjdź. Za mnie.

Ukląkł. Do jasnej anielki, ukląkł na podłodze prysznicza, tam, gdzie klęczał już nieraz, kiedy... ekhm... W każdym razie ukląkł, złapał mnie za rękę i znowu powtórzył te słowa, tym razem dodając znak zapytania.

– Wydziesz za mnie?

W tym samym momencie uświadomiłam sobie, że wszystkie te zmartwienia, dylematy, zagwozдки i rozmyślenia o tym, co jest dobre dla par, kiedy jest za wcześnie, a kiedy jest dobry moment, bla, bla, bla, były zupełnie bez sensu. Chrzanić to! Nie liczy się to, co jest ważne dla innych par, ale to, co jest ważne dla nas. Dla mnie i dla Simona. Bo kiedy Wallbanger pada przed tobą na kolana i prosi, żebyś została jego żoną, nie ma się nad czym zastanawiać.

Ciekawym aspektem zaręczyn pod prysznicem jest to, że nie wiadomo, czy twarz masz mokrą od wody, czy od łez. Powiedziałam „tak”, a on mnie pocałował. Powiedziałam „tak”, a on mnie dotknął. Powiedziałam „tak”, a on wszedł we mnie. Powtarzałam „tak, tak, tak”, kiedy się ze mną kochał.

Chwilę później zaniósł mnie do łóżka, wyjął pierścionek z szuflady nocnej szafki i włożył go na mój serdeczny palec. Pierścionek świecił i błyszczał. Był idealnie piękny. Prezentował się świetnie na moim palcu, gdy moje dłonie trzymały Simona za pośladki, kiedy znowu we mnie wszedł.

– Nie mogę uwierzyć... poprosiłeś mnie... o rękę... – jęknęłam, kiedy naparł na mnie mocno.

– Uwierz w to, kotku – wyszeptał i obrócił mnie tak, że znalazłam się na górze.

– Nie mogę w to uwierzyć... jak bardzo jestem... szczęśliwa – powtarzałam coraz bardziej rytmicznie.

– Mylisz się. – Usiadł, przez co poczułam go jeszcze głębiej. – To ja jestem szczęściarzem.

Westchnęliśmy oboje, a moje biodra rozpoczęły dziki taniec.

– Nie mogę uwierzyć... że... będziesz... Simonową... Reynolds...

Przyznaję, polecałam na to jak nikt.

Zrobiłam narzeczonemu na śniadanie jajecznicę. Możecie w to uwierzyć? Oczywiście nie pytam o jajecznicę, choć trzeba przyznać, że wyszła niewiarygodnie dobra. To stary trick z *Bosonogiej Contessy*. Trzeba wymieszać jajka z dwiema łyżeczkami śmietany, a potem wylewać je powolutku na nasmarowaną masłem patelnię i smażyć, mieszając, na wolnym ogniu. Wychodzi

idealna, za każdym razem. À la Ina. À la błyszczący pierścionek. À la poduszczyk z 2,5-karatowego złota na platynowym cacku. Nie mogłam przestać na niego patrzeć. Posoliłam jajka, a później podziwiałam swój pierścionek na tle pudełka z koszerą solą Morton i zauważyłam, że prezentował się naprawdę dobrze na tle reklamującej go dziewczynki. Dodałam odrobinę świeżo zmielonego pieprzu, a potem patrzyłam, jak pierścionek odbija promienie słońca, tworząc malutkie tęcze na blacie.

Otwierałam każdą szafkę po kolei tylko po to żeby zobaczyć, jak pierścionek wygląda na ich tle. Powiedzcie mi, że to normalne, okej?

– Nie mogę przestać patrzeć na pierścionek – wyznałam Simonowi, kiedy stawiałam przed nim talerz i szklankę świeżo wyciśniętego soku z pomarańczy. Zrobiłam sok, bo chciałam zobaczyć, jak pięknie będzie wyglądała moja dłoń w pierścionku, kiedy... włączałam wyciskarkę.

– Ja też nie mogę przestać na niego patrzeć – przyznał, po czym posadził mnie na swoim kolanie, żeby mnie przytulić.

– To takie słodkie, kotku.

– Oczywiście, na ogół patrzę głównie na twoje piersi, więc trzeba przyznać, że pierścionek zaburza pewien rytm.

– To trochę dziwne.

– Powiedziałaś już komuś?

– Nie bardzo miałam kiedy. Byłam zbyt zajęta uprawianiem seksu z moim narzeczonym.

– To chyba najbardziej seksowna rzecz, jaką kiedykolwiek mi powiedziałaś.

– Naprawdę? A co, jeśli ci powiem, żebyś polizał moją słodką...

Wspaniałą cechą jajecznicy jest to, że robi się ją bardzo łatwo, więc jeśli pierwsza porcja ostygnie, można szybko zrobić kolejną.

Kilka chwil później, kiedy leżeliśmy na stole kuchennym, usłyszeliśmy dźwięk tłukącego się talerza.

– Wisisz mi za talerz – powiedziałam.

– Wisisz mi za orgazm – rzucił.

A potem dźwięk kolejnego tłukącego się talerza.

– Ups, przepraszam – powiedziałam, chociaż wcale nie było mi przykro.

– Stłukłem swój talerz przypadkowo, dałem się ponieść namiętności. Spychanie talerzy ze stołu celowo donikąd cię nie doprowadzi, Caroline.

– Wątpię w to, Simon. Spójrz, jak wspaniale wygląda mój pierścionek, kiedy trzymam w dłoni twojego penisa.

– Rany, kobieto...

Chwilę później...

– Słyszałem, że rozmawiałaś z Jillian przez telefon. Chyba jej nie powiedziałaś?

- Nie, powiedziałam jej, że muszę wziąć dzisiaj wolne z powodów osobistych.
- A co to za powody?
- Zamierzam kochać się z tobą pod tym stołem do nieprzytomności.
- Ach tak...
- Masz z tym jakiś problem?
- To najlepszy powód osobisty, jaki mogę sobie wyobrazić.
- Zgadzam się. No to zaczynajmy.
- Zamierzasz być taka władcza, gdy już będziemy małżeństwem?
- Nawet nie masz pojęcia, Simon. Nawet nie masz pojęcia.

Kilka godzin później...

- Naprawdę zgłodniałem.
- Ja też. Możesz zacząć się kontrolować?
- Ja? To ty celowo zrzucasz talerze ze stołu.
- Nie zaczynaj od nowa. Zjemy coś w drodze do szpitala.
- Masz atak serca? Wiem, ostatnia rundka była dosyć intensywna. Swoją drogą, fajnie, że byłaś taka gibka...
- Nie ma za co, ale nie chodzi o żaden atak serca. Obiecałam Sophii, że do niej podjadę.
- Czy to oznacza, że będziemy musieli się ubrać?
- Jeśli chcesz z sukcesem przejść przez ochronę, to chyba tak. Zbierajmy się, chcę zadzwonić do mamy i przekazać jej dobre wieści.
- A co z tatą?
- Ty do niego zadzwonisz i wytłumaczysz mu przy okazji, dlaczego nie zapytałeś go o zgodę, zanim zrobiłeś mnie swoją żoneczką.
- Cholera... To znaczy, hurra!

Zadzwoniliśmy z Simonem do moich rodziców, którzy byli bardzo podekscytowani. Mama natychmiast włączyła tryb ślubny i zadała mi serię pytań, łącznie z tym, gdzie, kiedy, w jakich kolorach i czy chcę, żeby moja kuzynka Bernice była moją świadkową, a później kazała mi zrecenzować ze szczegółami przebieg oświadczyń. Słyszałam o dziewczynach, które oświadczyły przeżyły w dorożce, na plaży, na wieży Eiffla, a nawet w komunikacji miejskiej, ale żadna z nich nie była wtedy naga. Oczywiście, zakładam, że chwilę później już tak, ale w chwili zaręczyn? Postanowiłam jednak zachować to dla siebie.

Ubraliśmy się wreszcie, weszliśmy do samochodu i pojechaliśmy do miasta, z małym przystankiem na hamburgery i napoje. Czy starałam się pokazać swój pierścionek wszystkim pracownikom drive-thru? Oczywiście, że tak. Oto mój pierścionek jak jem hamburgera, a oto on, kiedy piję shake'a. Kazałam nawet Simonowi odegrać scenę zakładania mi pierścionka za

pomocą cebulowego krążka. Dla kogoś, kto kwestionował instytucję małżeństwa, zapewne byłam dziewczyną, która zwariowała na punkcie głupiej błyskotki.

Kiedy dojechaliśmy do szpitala, przekręciłam pierścionek w taki sposób, aby złotą poduszczkę schować w dłoni. Nie chciałam, żeby Sophia od razu zauważyła. Dobrze pamiętałam, co mówiła Mimi o spychaniu ze sceny. Wiedziałam, że będzie się cieszyła moim szczęściem, ale chciałam, żeby to mała Mary Jane była na pierwszym planie.

Zapukaliśmy, a ona pomachała nam, żebyśmy weszli. Siedziała na łóżku w idealnym makijażu, z perfekcyjną fryzurą, zjadając smażonego kurczaka, podczas gdy Neil leżał rozwalony na kanapie, trzymając Mary Jane na piersi.

– Cześć! – krzyknęła, robiąc małą przerwę w jedzeniu. – Przepraszam was, ale umieram z głodu, a to szpitalne jedzenie nie nadawało się do niczego. Właśnie wycisnęłam z siebie dzieciaka, a oni chcieli mnie nakarmić galaretką. Chrzanić to, potrzebowałam prawdziwego żarcia.

Wszystkie moje obawy o to, że Sophia złagodnieje po urodzeniu dziecka, mogłam teraz wyrzucić na śmietnik. Dzięki Bogu!

Mary Jane wydała z siebie cichy gulgot i cztery pary oczu momentalnie zwróciły się w jej stronę. Sophia promieniała. No dobrze, może jednak trochę złagodniała...

– Jak się czujesz, mamusko? – zapytałam, po czym podeszłam do niej i odgarnęłam jej włosy z twarzy. – Wyglądasz fantastycznie.

– To prawda, rzeczywiście wyglądam. Trzeba było wpaść do mnie rano, kiedy wyglądałam okropnie. Teraz już wiem, czemu Kardashianki mają oddział specjalny glamour, który odwiedza je po każdym porodzie... Inaczej wyglądałyby na zdjęciach z niemowlakami jak żywe trupy.

– Jesteś piękna – powiedział Neil – bez oddziały specjalnego glamour.

Simon usiadł na kanapie koło Neila i zaczął przyglądać się różowemu zawiniątku.

– Jeśli chcesz, możesz ją potrzymać, stary. Wystarczy poprosić.

Neil nabrał powietrza do płuc, a zawiniątko uniosło się do góry, po czym opadło.

– Mógłbym potrzymać przez minutkę – powiedział Simon, rzucając mi ukradkiem spojrzenie.

Uśmiechnęłam się, ciesząc się z kolejnej szansy obserwowania Simona trzymającego na rękach dziecko. Cześć, jajniki! Może byście się uspokoiły?

Patrzyliśmy z Sophią na chłopców, jak przekazywali sobie Mary Jane z rąk do rąk z precyzją drużyny saperów. Musiałam powstrzymać się od śmiechu, ale był to uroczy widok.

– To jak się czujesz? Teraz pytam serio – zwróciłam się do Sophii, kiedy zakończyli operację „transfer”.

– Dokładnie tak, jakbym wycisnęła z siebie wczoraj dzieciaka – zaśmiała się i ugryzła kawałek kurczaka. – Boli, jak cholera, ale było warto. Widziałaś, jak cholernie śliczna ona jest?

– Jest całkiem cholernie śliczna – odpowiedziałam. – A może masz ochotę na więcej dobrych

wieści?

– Zawsze – rzuciła z buzią pełną kurczaka, więc przekręciłam pierścionek.

Zacząła piszczeć jak szalona, budząc własne dziecko.

– Soph! Co się dzieje?! – krzyknął Neil.

Spojrzeli na siebie z Simonem, po czym momentalnie przenieśli wzrok na Mary Jane, która zaczęła płakać.

– Pokaż mi pierścionek! – krzyknęła Sophia.

– Dlaczego ona płacze? – zapytał spanikowany Simon.

– Bo jej własna matka wystraszyła ją na śmierć! – krzyknął Neil.

– Uspokójcie się wszyscy – powiedziałam, próbując opanować sytuację.

Chciałam pójść w stronę kanapy, ale okazało się, że nie ma takiej możliwości, bo Sophia trzyma moją dłoń w żelaznym uścisku. Zaczynałam podejrzewać, że zaraz wyciągnie z kieszeni szlafroka lupę.

– Co zrobić, żeby przestała?

– Pospaceruj z nią, to się uspokoi.

– Nie potrafię wstać, kiedy mam ją na rękach!

– Czy to dwa i pół karata?

– Zawołaj pielęgniarkę, ona nie przestaje płakać!

– Dzieci płaczą, Neil...

– Pomocy!

– Czy mogłabyś zabrać moje dziecko z rąk Flipa i Flapa? – rzuciła Sophia.

– Och, zlitujcie się – powiedziałam, wyrwałam się z jej uścisku i podeszłam do kanapy. – Hej, panienko, już wszystko w porządku. – Delikatnie wzięłam Mary Jane od Simona i próbowałam ją uspokoić. – Ciii, cichutko, już w porządku. Nie będzie więcej krzyków, obiecuję. Po prostu wszyscy znajomi twoich rodziców są trochę zwariowani, wiesz? Ciii, ciii... – Wzięłam małą i zaniósłam ją Sophii, która w międzyczasie zaczęła odwiązywać szlafrok.

– Och, ja, hmm... Chyba powinienem wyjść, ja... – zaczął się jąkać Simon, podnosząc się wolno z kanapy.

– Spokojnie, to tylko piersi – zrugęła go Sophia i wyciągnęła ręce po Mary Jane. Zaskoczyło mnie, jakie to wszystko było naturalne. Siedzieliśmy sobie całą paczką, zupełnie jak dawniej, tyle że jedno z nas miało piersi na wierzchu. I wszystko było zupełnie na swoim miejscu. No, może z wyjątkiem oczu Simona, który próbował patrzeć wszędzie, tylko nie tam, gdzie działa się akcja.

Neil podszedł do łóżka i wreszcie zobaczył to, o co Sophia narobiła tyle rabanu.

– Hej, a co ty tam masz na palcu? – zapytał, patrząc na mój pierścionek.

– A na co ci to wygląda?

Wyciągnęłam rękę, żeby mógł popatrzeć, a jego wzrok zaczął błędzić między mną,

pierścionkiem i Simonem.

– Stary?

– Co, stary?

– Przyszliśmy zobaczyć Mary Jane i przynieśliśmy prezenty... Co tu się, do licha, wyprawia? – zapytała Mimi, nic nie rozumiejąc z tej scenki.

– Zapytaj pannę młodą – powiedziała Sophia i kiwnęła głową w moją stronę.

Okazało się, że na oddziale dla noworodków nie lubią pisków. Bardzo kulturalnie zostaliśmy poproszeni o wyjście.

Po raz kolejny ja, Mimi, Ryan i Simon znaleźliśmy się w szpitalnej poczekalni, chociaż tym razem trafiliśmy tu z zupełnie innego powodu niż wczoraj.

– Nie mogę uwierzyć, że się zaręczyliście! To świetnie! A już zaczynałam popadać w weselną depresję. Nie miałam czego planować, a teraz będę mogła zaplanować wasze wesele! Po pierwsze, czy już ustaliliście termin? Macie jakieś pomysły? Wieczorem? Po południu? Czarny krawat? Biały krawat? Ja...

– Wstrzymaj konie. – Podniosłam ręce, żeby dać jej do zrozumienia, że natychmiast ma przestać. – Ten pomysł ma ledwie jeden dzień. Nie planowaliśmy jeszcze nic i z pewnością nie będziemy robić tego w tym momencie – powiedziałam i wzięłam głęboki oddech. – Mówię serio. Opanuj się.

– Ja ci dam „opanuj się” – wymamrotała pod nosem Mimi, kiwając z dezaprobatą głową. – Niech ci będzie, ale mogłabym spytać tylko o jeden detalik?

– Dobrze, ale tylko o jeden.

– Jak myślisz, w jakie pójdiesz kolory?

I już rozbłysła na nowo, tryskając entuzjazmem na wszystkie strony.

– O rety! Chyba skontaktuje cię z moją matką. Będziecie mogły planować razem, dopóki śmierć was nie rozdzieli – rzuciłam, rozbawiona tym, jak bardzo się podekscytowała.

– To świetny pomysł! Ach, Caroline, naprawdę się cieszę! Zadzwoń do niej jeszcze dziś wieczorem i dowiem się, co o tym myśli. Rety, mamy tyle do zrobienia, ja...

– Mimi. Kochana. Żartowałam. Zwolnij. Pozwól mi pobyć przez kilka dni narzeczoną, bez całej tej weselnej otoczki, okej?

Znowu spochmurniała, ale posłusznie zamilkła. Przez cały ten czas Ryan kilka razy wydukał: „stary”, na co Simon kilka razy rzucił do niego „stary”. Poklepalili się po plecach i po zabawie. A niech to!

Kiedy wróciliśmy wieczorem do domu, w skrzynce odbiorczej znalazłam trzynaście e-maili od mamy (zawierały listę wszystkich godnych uwagi lokali organizujących wesela w Karolinie Północnej) i siedemnaście od Mimi (z linkami do sklepów z sukniami dla panny młodej i druhen oraz cukierni). Próbowałam przez nie przebrnąć, kiedy Simon podszedł do mnie

i zaczął masować mi kark.

– Ta mi się podoba – rzucił i wskazał jedną z sukienek.

– Nie mogę uwierzyć w to, co moja matka i Mimi wyprawiają. Ruszyły pełną parą – powiedziałam, kiwając głową z niedowierzaniem.

– Masz na myśli to, że szturmem przejmują nad nami kontrolę? – zaśmiał się i mocno nacisnął na mój kark kciukami.

Kilka razy obróciłam głowę, mrużąc z rokoszy, a potem na niego spojrzałam.

– Właśnie. To będzie szopka.

– Jak ślub może być szopką?

– Pozwoliłabym ci przeczytać te e-maile, ale chwilowo nie jestem w stanie ruszyć głową. Wiesz, jak słodko wyglądasz, kiedy jesteś do góry nogami? – zapytałam i znowu mruknęłam z rozkoszy, kiedy zaczął mnie masować wzdłuż ramion aż do łokci, które na końcu uniósł i oparł na swoich ramionach.

– Ja też uwielbiam oglądać cię do góry nogami – rzucił i nachylił się, żeby złożyć na moim czole pocałunek.

– Jak wygląda mój pierścionek, kiedy jest do góry nogami?

Znów zaczęłam się z nim drażnić i wyciągnęłam rękę.

– Seksownie – powiedział i pocałował mnie. – Niesamowicie seksownie – dodał z kolejnym całusem. – Absurdalnie seksownie.

Następny całus. A potem zaczął mnie dotykać.

– Absurdalnie seksownie? – zapytałam i przymknęłam oczy, kiedy poczułam jego palce w miseczkach mojego stanika.

– To tylko słowo.

– Takie samo, jak „jakszybkomożeszprzestaćbyćtakbardzoubrany”.

– To byłoby... raz, dwa, trzy...

– Zaczęłaś liczyć?

– Cztery, pięć...

– Simon?

– Hm?

– Przestań liczyć i zacznij mnie dotykać.

– Ależ oczywiście, kochanie. Nie ma żadnego problemu.

I rzeczywiście nie było. Jego dotyk był pewny i doskonale dopasowany do potrzeb mojego ciała. Byliśmy ze sobą już na tyle długo, żeby wiedzieć, co lubimy i co nam sprawia największą przyjemność. Poprzednia noc była wypełniona miłością i namiętnością. A dzisiejsza? Pełna szaleńczego, maniakalnego, zwariowanego, głupkowatego pieprzenia.

Po chwili jego dotyk z pewnego i dopasowanego do moich potrzeb stał się dziki i lubieżny. Błyskawicznie obrócił mnie w swoją stronę i tak mocno szarpnął za bluzkę, że poodpadały

z niej guziki. Przyparł mnie do ściany. Delikatnie odwróciłam wzrok i po raz pierwszy w życiu zobaczyłam z bliska tę tapetę, przez którą tyle wycierpiałam.

– Och – zdążyłam tylko wyjąkać, kiedy rozpiął mi spodnie i zaczął szczypać i przygryzać moją szyję.

– Zdejmij je. Zdejmij je natychmiast. Zdejmij wszystko – szepnął mi do ucha. Jedną rękę trzymał na moim gardle, a drugą na biodrze. Właśnie dlatego Simon nigdy mi się nie znudzi. W sekundę potrafił przejść od romantycznej delikatności do szaleńczej namiętności i zawsze udało mu się mnie zaskoczyć. Wiedział, czym mnie zadziwić. – Szybciej – rzucił, a ja wróciłam do rzeczywistości, w której naprawdę mogłam go poczuć: twardego, natarczywego, napierającego na mnie.

Zdjęłam dzinsy, a potem zaczęłam zsuwać majteczki. Robiłam to pewnie zbyt wolno, bo zerwał je ze mnie jednym ruchem, po czym znów przyparł mnie do ściany. Kochałam słodkiego i romantycznego Wallbanger, ale Wallbanger robiący hałas na całe mieszkanie był lepszy!

Jedną rękę trzymając na moich plecach, a drugą na włosach, przyparł mnie do ściany, po czym złapał za biodra i pociągnął w swoją stronę. Usłyszałam, jak rozpina pasek i rozsuwa rozporek. Był gotowy. Zawsze był gotowy. Rękę, którą trzymał na moich plecach, przełożył na biodra, dając mi tym sygnał, że bym rozsunała nogi. Westchnęłam, kiedy poczułam go dokładnie tam, gdzie go potrzebowałam.

– Powiedz mi, że mnie pragniesz, że tego potrzebujesz – szepnął mi do ucha.

– Chryste, Simon, oczywiście, że tak – jęknęłam, kiedy dłoń, którą trzymał wcześniej na moich biodrach, powędrowała na moją pierś.

Gdy zaczął drażnić, ścisnąć i szczypać moje sutki, znów głęboko westchnęłam.

– Powiedz mi, że tego pragniesz...

Ostatnie słowo zaakcentował pchnięciem, co sprawiło, że wygięłam się mocno, szukając biodrami jego bioder.

– Tak, Simon! Pragnę cię, pragnę tego – jęczałam, szalejąc z rozkoszy, którą mi dawał. – Zawsze będę cię pragnąć.

Ręką, którą trzymał mnie za włosy, ciągle przypierał mnie do ściany, a palce drugiej włożył we mnie, by sprawdzić, czy jestem wilgotna i gotowa. W końcu mruknął z rokoszy, a chwilę później wydał z siebie najbardziej seksowny dźwięk na świecie, zanurzając się we mnie, centymetr po centymetrze. Wyciągnęłam rękę, żeby przyciągnąć go bliżej siebie, ale on przyparł mnie z powrotem do ściany.

– Spójrz tylko na siebie. Chryste, spójrz na siebie – mruknął i powolutku zaczął ze mnie wychodzić, ale tylko po to, żeby za chwilę znów mocno naprzeć na moje biodra. – Jesteś taka seksowna, kiedy tak tu stoisz...

– Kiedy mnie posuwasz? – zapytałam, patrząc na niego zalotnie przez ramię, które on chwilę później ugryzł i to całkiem mocno.

Nagle ze mnie wyszedł, zanim jednak to do mnie dotarło, był już na ziemi, między moimi nogami, oparty plecami o ścianę.

To taki drobiażdżek na temat mojego narzeczonego: uwielbia mnie smakować.

Jego język pracował jak szalony, kiedy mnie ssał i lizał. Jedną ręką chwycił mnie za pośladki, trzymając mnie tuż przy swojej ślicznej buźce, na którą napierałam biodrami, a drugą otworzył mnie i nie przestawał się mną zajmować, dopóki nie zrobiło mi się ciemno przed oczami i nie zaczęłam mieć zawroty głowy...

– Nie przestawaj, ani się waż przestawać – prosiłam, kiedy masował mnie językiem, ssał, przygryzał, lizał, całował i kochał tak długo, że aż...

Eksplodowałam, ale nie przestał, dopóki nie eksplodowałam ponownie. I jeszcze trzeci raz, na wypadek, gdyby mi było mało. A kiedy byłam już całkiem jak z gumy, ułożył mnie na podłodze, moje nogi założył sobie na ramiona i zrobił wszystko, żebym nawet nie pomyślała o innych facetach.

Istnieje prawdopodobieństwo, że na kuchennej podłodze straciłam przytomność, bo kiedy się obudziłam kilka minut, a może godzin później, przykryta pomarańczowo-groszkową narzutą, zobaczyłam Simona stojącego przy kuchennej wysepce i zajądającego mleko z cheeriosami. Nago.

Pierwszy tydzień po zaręczynach pamiętam jak przez mgłę. Oboje dużo pracowaliśmy. Powiedzieliśmy wszystkim znajomym i nasze smartfony wypełniły się gratulacjami, wesołymi emotikonami i najlepszymi życzeniami. Jillian zmieniła nawet wiadomość na automatycznej sekretarce w biurze. Informację o zaręczynach dodała oczywiście na końcu, po adresie i godzinach otwarcia.

Zawsze dużo rozmawiałam z matką przez telefon, na ogół dwa, trzy razy w tygodniu, ale teraz dzwoniła do mnie nawet kilka razy dziennie. Raz zdarzyło jej się o siódmej rano, a innym razem o jedenastej trzydzieści wieczorem – zadzwoniła tylko po to, żeby kazać mi włączyć program Jimmy'ego Fallona, bo akurat brała w nim udział Drew Barrymore w sukience, która, jej zdaniem, świetnie nadawałaby się na suknię ślubną. Mimi była równie niezmordowana. Zaczęła węszyć w poszukiwaniu okazji i w poniedziałek po południu przyniosła mi do biura wszystkie ślubne magazyny, jakie były na rynku, razem z numerami „Martha Stewart Weddings”, które zbierała od 2002 roku. Potrzebowała do tego dwóch wózków i trzech rundek windą.

Zaczynałam akurat pracę nad przeróbką projektu dla naszego klienta z Dolores Heights i w pewnym momencie uświadomiłam sobie, że zamiast myśleć o przebudowie kuchni, gadam na Skypie z mamą i Mimi, które zażarcie dyskutowały na tak gorące tematy, jak długość welonu i to, czy z moim czołem mogę sobie pozwolić na koronki. Nie miałam pojęcia, o co właściwie im chodzi, ale było to ekscytujące, przyjemne, obezwładniające i cudowne.

W piątek wieczorem byłam już tym jednak zmęczona i kiedy jedliśmy z Simonem tajskie jedzenie na kanapie w salonie, powiedziałam mu, że nie pozwolę, aby planowanie wesela zepsuło nam radość z tego, czym teraz żyliśmy. A żyliśmy wizją naszego małżeństwa. Simon złożył mi na czole pocałunek o smaku curry, pokiwał głową rozczulony moją naiwnością i tylko się uśmiechnął.

To było nasze ostatnie wspólne curry na długo.

ROZDZIAŁ PIĄTY

KILKA MIESIĘCY PÓŹNIEJ...

Mamo, nie możesz posadzić Royersów obok Boccich, przecież oni są ze sobą w stanie wojny! Mod dnia, w którym pan Bocci przejechał kota pani Royers. Jak mogłaś o tym zapomnieć? Chrupek został zmieciony z powierzchni ziemi przez przednie koła nowego mercedesa Royersów. Pani Bocci nie mówiła o niczym innym przez całe lato i z tego powodu przestaliśmy ją zapraszać na imprezy nad basenem. Gadała tylko o swoim kocie... Tak, to było rok przed tym, jak poszłam do college'u... Owszem, tak, dawno temu... Tak, teraz już wszystko rozumiesz. Posadź ich obok Schaefersów, ich wszyscy lubią... Okej, porozmawiamy jutro... Pa...

Odłożyłam słuchawkę i potarłam ucho. Było rozgrzane do czerwoności. Nic dziwnego: wisiałam na telefonie przez dobre pół godziny, a mama zadzwoniła tuż po tym, jak wyszła z mojego mieszkania, w którym spędziłyśmy ostatnie trzydzieści godzin.

Nasz dom zamienił się w Centralę Weselną. Moja matka przyjechała na weekend i zbombardowała mnie okołoślubnymi zadaniami, na co nie byłam zupełnie przygotowana. Matka, Simon, Mimi, ja, a także Jillian i Sophia, ale w mniejszym stopniu, kursowaliśmy po wybrzeżu przez ostatnie dwa dni, próbując tortów i dań z menu, dobierając kwiaty, mierząc sukienki i wybierając weselne kapele. Jeśli mam być szczerą, do najbardziej przyjemnych zajęć należało to ostatnie. Reszta? Tragedia!

Jak ludzie mogli w ogóle brać śluby, nie popadając w obłęd? Nie tracąc całego majątku? Nie kończąc w więzieniu za napaść z halką w ręku?

Do tej pory byłam bezpośrednio zaangażowana w dwa wesela, najpierw Jillian, a potem Mimi, więc wydawało mi się, że jestem przygotowana na podejmowanie trudnych decyzji, komplikacje i czający się z tyłu głowy lęk przed popełnieniem błędu. Okazałam się ignorantką, bo to było niemożliwe. Nie tym razem. Byłam słoniem w składzie porcelany, w tych ekstrawaganckich torturach z tiulu i koronek, które powoli doprowadzały mnie do szaleństwa. Kiedy mama wreszcie wyszła, zostawiając mnie samą w domu wypełnionym prezentami przedślubnymi, tablicami z rozmieszczeniem gości i mapą wszystkich miejsc w pobliżu kościoła, w których mogłyby być korki, zamknęłam drzwi frontowe i z radością klapnęłam na podłogę w przejściu. Kilka minut później Simon wręczył mi komórkę.

– Twoja mama – wyszeptał.

– Przecież wyłączyłam telefon! – odpowiedziałam mu.

– To pewnie tłumaczy, dlaczego zadzwoniła na mój numer, co nie?

– Cholera! – wycedziłam przez zęby i wzięłam smartfon. – Cześć, mamo, co słyhać? – rzuciłam, podczas gdy Simon złapał mnie za lewą nogę i zaczął ciągnąć po ziemi do salonu. Całe szczęście, że niedawno froterowaliśmy podłogę...

Kiedy skończyłam rozmawiać, spojrzałam na niego z miejsca, gdzie mnie zostawił, tuż obok kanapy, na której sam się usadowił. Wyglądał na zmęczonego.

– Nawet nie zdążyła dojechać do autostrady, a już wymyśliła kilka kolejnych problemów z rozmieszczeniem gości – rzuciłam.

– Dlaczego tak trudno usadzić tych wszystkich ludzi w jednym pomieszczeniu? Cześć. Bardzo was kochamy. Chcielibyśmy, żebyście tu byli w tak ważnej dla nas chwili. Kochamy was najbardziej na świecie. Nakarmimy was pieczoną polędwicą wołową z młodymi ziemniakami w sosie grzybowym, z grzybów, które zebrano na wzgórzach wyrastających nad San Francisco. Ale wy najzwyczajniej w świecie nie jesteście w stanie zapomnieć przejechanego kota i po prostu cieszyć się krewetkami atlantyckimi serwowanymi na poduszczykach z rukoli z pianką czosnkową.

– Krewetki niestety wyleciały z menu, kochanie. Zbyt wiele osób ma na nie alergię.

– Ale ja tak kocham piankę czosnkową!

– Wiem...

– To już wymyka się nam spod kontroli – westchnął i zakrył twarz rękoma.

Usiadłam mu na kolanach i złapałam go za rękę.

– Rozumiem cię. Rzucamy wszystko i uciekamy?

– Jutro z samego rana – powiedział i spojrzał na mnie, żeby sprawdzić, czy nie kłamię.

Kiedy kiwnęłam przecząco głową, Simon znów westchnął.

– Już dobrze. Jakoś sobie poradzę. Po tym wszystkim będę miał cię na hiszpańskich plażach tylko dla siebie przez całe trzy tygodnie.

– Masz rację. I jestem taka szczęśliwa, że udało nam się znowu wynająć ten dom w Nerji. To idealne miejsce na miesiąc miodowy. W dodatku będziemy tam już za cztery tygodnie.

– Tylko cztery tygodnie. Tylko cztery tygodnie. Tylko cztery tygodnie... Myślałem, że będę mieć trochę czasu, żeby się spakować na wyjazd, ale próbowanie tortów wygrało.

– To były całkiem niezłe torty. Nie wmówisz mi, że ta część ci się nie podobała.

– Były niezłe, ale nic nie jest tak smaczne jak twoje dania. Gdybym decydował, jedlibyśmy szarlotkę twojej roboty – powiedział i położył dłonie na moich biodrach.

– To słodkie, ale potrójny kokos z kremem z malin był cholernie dobry.

– Masz rację. Chcesz mi pomóc z pakowaniem?

Usiadłam na oparciu kanapy i czekałam, aż mnie weźmie na barana i zanieś na górę. To był jego ostatni wyjazd przed weselem, dwa tygodnie zdjęć w Wietnamie. Było mi przykro, że nie

mogę się z nim zabrać. Jechał tam na zlecenie „National Geographic”, do pracy nad projektem o niedawno odkrytej jaskini Son Doong. Otwarto ją dla zwiedzających dopiero dwa lata temu i duża jej część nie była jeszcze obfotografowana.

Zjazd po linii wzdłuż śliskich klifów, brodenie w rwących potokach, unikanie zderzeń z nietoperzami i robakami wielkości piłki lekarskiej – Simon po prostu to kochał. I potrafił to uchwycić na filmie.

– Wciąż nie mogę uwierzyć, że nie możesz przełożyć tej podróży, tak żeby odbyła się już po ślubie – westchnęłam, ciągle siedząc mu na ramionach, podczas gdy on próbował utrzymać równowagę, wchodząc po schodach.

– Chyba bardziej nie możesz uwierzyć w to, że nie jedziesz ze mną – powiedział.

– Też prawda, chociaż najbardziej chciałabym, żebyś został i pomógł mi z planowaniem.

– Kochanie, masz przy sobie siostry Olsen planowania, które będą się prześcigać w zaspokajaniu twoich potrzeb. Myślę, że sobie poradzisz – powiedział, po czym złapał torbę podróżną i rzucił ją na łóżko.

Chwilę później ja też na nim wylądowałam.

Miał rację. Do tej pory mama i Mimi świetnie sobie ze wszystkim radziły, a ponieważ miałam ręce pełne roboty, byłam im wdzięczna za pomoc. Mimo to wciąż jest jeszcze masę spraw do załatwienia, podczas gdy on postanowił przeskoczyć ten etap.

– Pamiętasz, kiedy rozmawialiśmy o tym, że nasze wesele będzie dokładnie takie, jak zechcemy? – zapytałam, patrząc, jak pakuje do torby koszulki i szorty.

– Chyba pożegnaliśmy się z tą wizją już kilka miesięcy temu, kochanie. Pewnie wtedy, kiedy prowadziliśmy trzy odrębne dyskusje o migdałach w czekoladzie dla gości i o tym, jak powinniśmy je zapakować*****.

***** W Stanach Zjednoczonych jedną z weselnych tradycji jest wręczanie gościom migdałów w polewach lukrowych lub w czekoladzie. Migdały pakuje się przeważnie w małe torebeczki po pięć sztuk. Mają one symbolizować szczęście, zdrowie, długowieczność, zamożność i płodność.

– Wiem, wiem... Nawet nie lubię migdałów. Ale... wiesz... wciąż jeszcze chodzi o nas, prawda?

– Tak, wciąż chodzi o nas. O nas i o trzystu naszych najbliższych znajomych.

– Chryste... Trzy setki. Kiedy o tym myślę, to brzmi jak szaleństwo, ale kiedy przeglądam listę gości, nie mam pojęcia, kogo moglibyśmy skreślić – westchnęłam i padłam na poduszki.

Lista gości rosła i rosła, aż osiągnęła dramatyczne rozmiary. Cieszyłam się na przyjazd kilku najlepszych kolegów Simona. Mieli się pojawić nawet jego sąsiedzi, państwo White. Nie posiadał się z radości, kiedy dostał RSVP.

– Ilu klientów Jillian Design jest na liście? Ilu znajomych twoich rodziców się załapało, chociaż nie powinno? Jest na niej cała masa osób, których w ogóle nie znamy. To znaczy, powiedzmy, że nie znamy...

– Nie rozmawiamy o tym teraz, dobrze?

Lista gości, menu, parkingowi – miałam wrażenie, że z dnia na dzień robiło się tego coraz więcej, a Simon coraz częściej zakładał maskę zadowolenia, jakby zgadzał się na wszystko. Ale kiedy tylko komisja organizacyjna szła do domów, przyznawał, że to przytłaczające. Mimo to nie dawał za wygraną i nalegał, żebyśmy trzymali się ustaleń. Nie oznaczało to jednak, że się nie denerwował. Mieliśmy już za sobą kilka sprzeczek na temat listy gości. Sam nie miał wielkiej rodziny, której wszyscy członkowie mieszkają godzinę drogi od siebie, więc nie rozumiał, dlaczego musimy zaprosić aż tyle osób. Przede wszystkim jednak świadomość tego, ilu ja zaprosiłam gości, a ilu on, była dla niego trudna. To było tak, jakby czarno na białym pokazał, kogo stracił i kto nie przyjdzie. Był samotnym wilkiem. Moim samotnym wilkiem.

Na szczęście został już tylko miesiąc. Potem będziemy mogli znowu żyć własnym życiem, żyć dla siebie nawzajem. No i dla naszej małej kociej rodzinkei.

Postanowiłam zmienić temat i zaczęłam go wypytywać o szczegóły związane z jego podróżą. Kiedy porozmawialiśmy, napięcie trochę opadło. Jego torba podróżna zapełniła się w końcu, co zwabiło koty, które dobrze wiedziały, że szykuje się podróż. Rozmawialiśmy już tylko o aparatach i jaskiniach, koniec z tiulem i koronkami.

Kiedy w końcu położyliśmy się do łóżka, pocałował mnie namiętnie, a potem powiedział, że mnie kocha i będzie tęsknić za moim słodkim tyłeczkiem. Zaśmiałam się i pozwoliłam mu się kochać tak długo, jak chciał. Czyli całkiem długo. W końcu mówimy o Wallbangerze...

Następnego dnia rano zawiozłam go na lotnisko, pocałowałam na pożegnanie. Gdy powiedziałam, że nie mam na sobie majtek, i pocałowałam raz jeszcze, natychmiast zaczął ciągnąć mnie z powrotem do samochodu, żeby sprawdzić, czy nie żartowałam. Nie, nie żartowałam. Po ostatnim pocałunku powiedziałam mu, że go kocham i że spotkamy się za dwa tygodnie.

Była druga w nocy. Spałam na kanapie, a na mnie kilka futrzaków. Telewizor był nastawiony na Food Network. Odkleiłam twarz od poduszki... No, ładnie. Obśliniona... Ale zaraz, co ja właściwie robiłam na kanapie? I co taki dzwoniło? Telefon. Ach, telefon! Kiedy tylko zobaczyłam, że to Simon, podniosłam się, żeby odebrać.

– Kochanie? Doleciałeś już?

– Tak, właśnie wylądowałem w Hanoi – powiedział.

Ziewał, ale w jego głosie można było usłyszeć tę charakterystyczną niecierpliwość. Uwielbiał swoją pracę. Uwielbiał podróżować. Kiedy razem zamieszkaliśmy, nie podróżował tak dużo i myślałam, że będzie chciał znacznie ograniczyć zapędy globtrotera, ale on podróżował dalej, tylko nie tak często. Wciąż kochał to tak bardzo, że nie byłby w stanie z tego zrezygnować. A ja kochałam go tak bardzo, że nie mogłam od niego tego żądać. Poza tym byliśmy przyzwyczajeni do rozłąki. Tak właśnie się poznaliśmy, tak zaczęliśmy być razem i tak się w sobie

zakochaliśmy. Udało nam się, bo wiedzieliśmy, z czym się to je.

– Jak ci minęła podróż?

– Ostatni etap był męczący, ale cieszę się, że znowu tu jestem. Świeci słońce, jest chyba z milion stopni, a na mnie czeka już miska zupy pho, którą zjem, jak tylko skończę rozmawiać.

– No cóż, nie będę cię zatrzymywać. – Postanowiłam się trochę z nim podrażnić. – Dziękuję, że zadzwoniłeś. Kiedy jedziesz na pierwsze zdjęcia?

– Jutro rano. Dzisiaj spędzę dzień w mieście, muszę się zaaklimatyzować i popracować trochę z chłopakami, którzy będą moimi przewodnikami. Jutro wsiadam do nocnego pociągu. A może dzisiaj... Nie mam pojęcia, która jest godzina.

– Dobrze, kochanie, odzywaj się, kiedy tylko będziesz mógł.

Wiedziałam, że zadzwoni się zameldować, ale kiedy Simon pracował, można było odnieść wrażenie, że tracił poczucie czasu. Dokładnie tak samo, kiedy pracował nade mną...

– Będę. Kocham cię.

– Ja ciebie też. Ella każe przekazać, że za tobą bardzo tęskni.

– Och, powiedz mojej ślicznotce, że ja też za nią tęsknię.

– Śpi ze mną tylko wtedy, kiedy wyjeżdżasz z miasta.

– Dobrze wie, kto tu rządzi.

– Rozłączam się, Wallbanger.

– Ja rozłączę się pierwszy, Dziewczynko...

Ha. Pierwsza. Zdemontowanie przykrycia z czterech kotów zajęło mi trochę czasu, ale w końcu udało mi się wstać. Przeciągnęłam się i udałam w stronę łóżka. Gdy zabrzączał telefon, szybko zerknęłam na ekran. Wysłał mi zdjęcie swojej zupy...

W ostatnim tygodniu sporo pracowałam i starałam się zrobić tak dużo, jak tylko mogłam, przed naszym wielkim dniem. Monica zaczęła u nas pracować w zeszłym roku i zdążyła już awansować z asystentki na junior designera. Była absolutnie niezawodna we wprowadzeniu nowego modelu pracy, jaki zaproponowała Jillian. Wciąż pracowała ze mną nad większością moich projektów, ale powoli zaczynała też prowadzić własne, ze mną w roli nadzorczyńi. Zajmowała się także moimi klientami, kiedy ja tkwiłam po uszy w weselnych sprawach. To, że ktoś czuwał nad tym wszystkim, było budujące.

Pod koniec tygodnia czułam się wykończona, ale przynajmniej udało mi się popchnąć parę spraw do przodu. O czwartej trzydzieści miałam spotkanie z Jillian i wiedziałam, że skończy się na drinkach. Podpowiadała mi to intuicja, pewnie dlatego że tak kończyło się właściwie każde nasze spotkanie. Pewną wskazówką mogła być również butelka wina, którą zabrałam ze sobą. Akurat szłam do biura Jillian obłożona segregatorami i kolorowymi markerami, z którymi nigdy się nie rozstawałam, no i oczywiście z winem, gdy usłyszałam, że rozmawia z kimś przez telefon podniesionym głosem.

– O mój Boże, jesteś pewien? Co to oznacza? Jezu, mam jej o tym powiedzieć?

Zajrzałam do środka, bo ani nie chciałam jej przeszkadzać, ani też sprawiać wrażenia, że podsłuchuję. Kiedy nasze spojrzenia się spotkały, w jej oczach zobaczyłam strach i łzy. Nagle cały pokój zniknął, widziałam tylko twarz Jillian i telefon.

– Co się dzieje? – zapytałam drżącym głosem, bo już wiedziałam, że coś się stało.

– Caroline, kochanie, to Benjamin... – zaczęła, na co zmroziło mi krew w żyłach.

Dopiero później sobie uświadomiłam, że upuściłam wszystko, co niosłam wtedy w rękach, łącznie z butelką, która spadła prosto na moje stopy. Rana pod paznokciem dużego palca goiła się przez kilka miesięcy.

– Co się stało?

Usłyszałam czyjś głos i dopiero po chwili uświadomiłam sobie, że należał do mnie.

– Ja nie wiem, on właśnie zadzwonił i...

– Daj mi słuchawkę, Jillian – rozkazałam, po czym podeszłam do niej. – Gdzie on jest? Co się stało?

– Jeszcze nie znam konkretów, Caroline. Ja...

– Benjamin, gdybyś nie znał żadnych konkretów, nie zadzwoniłbyś do Jillian, a ona nie byłaby teraz blada jak ściana. Co się stało Simonowi?

Z każdym słowem mówiłam coraz głośniej. Mój głos był piskliwy i brzmiał desperacko. Było w nim słycać przerażenie.

– Wiem niewiele. Zadzwonił do mnie jeden z chłopaków, którzy byli na miejscu. Chyba jestem jego osobą do kontaktu w nagłych wypadkach w „National Geographic”. Dzisiaj w jaskiniach doszło do wypadku. Nie do końca rozumiem, co się wydarzyło. Mało kto mówi tam płynnie po angielsku, a jakość połączenia była fatalna i...

– Do jasnej cholery, Benjamin, powiedz mi, co się stało! – krzyknęłam i uderzyłam pięścią w biurko Jillian.

– Spadł z wysokości. Był na jakimś rusztowaniu z bambusa i okazało się, że linka asekuracyjna jest wadliwa. Nie wiem, jak wysoko to było. Na pewno na tyle, żeby połamać sobie kości.

– Połamać kości... Dobra, kilka złamanych kości. – Oddychałam głęboko i kurczowo trzymałam się biurka, bo trzęsły mi się nogi. – Dobra, dobra – powtarzałam.

– Niestety, to nie wszystko, Caroline... Podczas upadku uderzył się w głowę. Uszkodził sobie czaszkę. Zawieźli go helikopterem do szpitala, ale jest nieprzytomny. Nie wiem nic więcej. Próbowałam skontaktować się z lekarzem, ale...

– Monico! – krzyknęłam w stronę korytarza. – Chodź tu natychmiast!

– Caroline, co ty wyprawiasz? – zapytała Jillian, a ja podniosłam rękę, żeby ją uciszyć.

– Benjamin, musisz mi powiedzieć, gdzie on jest. W jakim mieście i w którym szpitalu. Potrzebuję nazwisko doktora. Muszę wiedzieć, kto go prowadzi i zdobyć do niego kontakt –

rzuciłam do słuchawki, kiedy zobaczyłam Monicę wbiegającą do biura.

– Caroline, proszę, nie mieszaj w to tej biednej dziewczyny...

– Pamiętasz, jak mi pomagałaś z biletami do Hiszpanii? Masz jeszcze moje dane paszportowe?

– Tak, powinnam mieć – powiedziała Monica, patrząc to na mnie, to na Jillian. – A co się dzieje?

– Musisz mi kupić bilet na najbliższy lot do Hanoi. Daj mi godzinę, żebym zdążyła podjechać do domu po paszport. Wyślij mi SMS, jak tylko ci się uda.

– Hanoi? Kiedy? Ile mogę na to wydać? Gdzie chcesz się przesiadać? Jak...

– Jak najszybciej. Nieważne. Wszystko mi jedno. Proszę, zrób to jak najszybciej – rzuciłam nieco spokojniejszym tonem. – Benjamin, jadę do domu po paszport, a potem prosto na lotnisko. Jillian mnie zawiezie, tak żebym mogła po drodze wykonać kilka telefonów. Dowiedz się wszystkiego i daj mi znać, jak tylko będziesz coś wiedział. Dobrze?

– Dobrze, masz to jak w banku. Ale jesteś pewna, że chcesz...

– Właśnie mi powiedziałaś, że Simon leży nieprzytomny na drugim końcu świata. Co innego mam zrobić? – zapytałam, a potem podałam słuchawkę Jillian i skierowałam się do drzwi. – Za dwie minuty będę gotowa do wyjścia. Monico, kup bilet.

Pięć godzin później byłam już na pokładzie samolotu. Zostało jedno wolne miejsce, w pierwszej klasie. Macie pojęcie, ile kosztuje bilet do Azji kupowany w ostatniej chwili? Wyobraźcie sobie dużo zer, a potem pomóżcie je co najmniej pięć razy.

Siedziałam w prywatnym przedziale. Wiedzieliście, że dla pasażerów pierwszej klasy Asian Flights ma jednoosobowe przedziały? Kiedy ostatnio lecieliśmy z Simonem do Wietnamu, mieliśmy miejsca w klasie biznesowej. Owszem, to było bardzo przyjemne, ale nie mogło się równać z tym.

Monica musiała użyć aż pięciu kart kredytowych, żeby mi kupić ten bilet, ale to było bez znaczenia. Najważniejsze, że leciałam do Simona.

Zanim wyleciałam, Benjaminowi udało się dowiedzieć jeszcze paru rzeczy. Wciąż był nieprzytomny, robili mu badania na TBI, czyli urazowe uszkodzenie mózgu. Jeżeli odprysk czaszki spowodowałby opuchliznę, która naciskała na mózg, musiałby poddać się operacji, żeby zmniejszyć ciśnienie wewnątrzczaszkowe.

Powiem wam teraz, czego nie powinniście robić. Nigdy, przenigdy nie wchodźcie na Wikipedię w poszukiwaniu objaśnień terminów medycznych. Wystraszycie się na śmierć. Było mi ciężko, ale bardzo się starałam unikać pokładowego Wi-Fi. Sprawdzałam telefon tylko po to, żeby zobaczyć, czy Benjamin nie miał jakichś nowych wiadomości.

Siedziałam więc w swoim przedziale i rozmyślałam o moim ukochanym Simonie. Podobno Benjamin dodzwonił się do szpitala i rozmawiał z kimś z personelu. Przekazał im, że chociaż

nie byłam wymieniona jako najbliższa mu osoba ani osoba kontaktowa w nagłych wypadkach, jestem jego narzeczoną i powinnam mieć możliwość odwiedzenia go w szpitalu. Poza tym Benjamin dostał od Simona pełnomocnictwo do załatwiania jego spraw. Mój kochany Simon, całkiem sam w wielkim świecie... Przez lata Benjamin załatwiał za niego wszystkie sprawy i pilnował jego finansów z San Francisco, a Simona nic nie ograniczało.

Ale to się skończyło. Teraz był połączony ze mną. Byłam jego osobą kontaktową. Kochałam go bardziej niż ktokolwiek na świecie i byłam przerażona, że coś mu się stanie, zanim zdążę do niego dotrzeć.

Siedziałam więc w samolocie, a w mojej głowie szalały myśli. Co chwila przypominały mi się czosnkowe pianki, które chciał podać na krewetkach podczas wesela. Nie dostanie ich. W pewnym momencie uznaliśmy, że nasi goście, którzy mogliby mieć alergię na owoce morza, są ważniejsi niż to, co pan młody chciałby zjeść na własnym weselu.

Jak mogło do tego dojść? Kiedy leciałam nad oceanem, myśląc o moim słodkim Simonie, wszystko stało się dla mnie jasne. Cały ten cholerny weselny nonsens w ogóle mnie nie obchodził. Chciałam tylko móc powiedzieć swojemu mężczyźnie słowa, które ludzie mówią do siebie od pokoleń. Chciałam stanąć z nim przed ołtarzem, usłyszeć od niego, że należy tylko do mnie, i przyrzec, że ja należę tylko do niego. Na dobre i złe, w zdrowiu i chorobie, dopóki śmierć nas nie rozłączy. A cała reszta? Chrzanić ją.

Ciężko jest chodzić w tę i z powrotem po samolocie, nikogo tym nie denerwując, więc postanowiłam wrócić do swojego przedziału. Był duży wybór filmów, ale wolałam obejrzeć ten, który sama mogłam sobie wyświetlić na wewnętrznej stronie powiek. Simon podczas naszego pierwszego spotkania, ubrany tylko w prześcieradło, stojący przed drzwiami, wściekły, bo nie przestawałam w niego pukać, ale nie na tyle wściekły, żeby nie zwrócić uwagi na moje nogi wyglądające spod różowej piżamki. Simon podczas naszego pierwszego pocałunku. Staliśmy na tarasie u Jillian, oświetleni światłem księżycy, wsłuchani w szum fal i granie świerszczy. Jego głupi, zabójczo pachnący sweter w moich rękach i moje usta czerpiące z jego ust. Simon, kiedy pierwszy raz się kochaliśmy, w najpiękniejszym łóżku w najpiękniejszej sypialni najpiękniejszego domu w całej Hiszpanii, drżący z pożądania, kiedy we mnie wchodził. Simon, kiedy pierwszy raz mnie pieprzył. Kiedy ujeżdżałam go umorusana mąką i rodzynkami. Kiedy w końcu powitaliśmy mojego przez wiele lat niewidzianego przyjaciela – orgazm.

Simon w dniu, w którym poprosił mnie, żebyśmy kupili razem dom. Kiedy siedziałam mu na kolanach w naszej obecnej sypialni, której ściany były pokryte absurdalną tapetą, a on wylewał wiadro pomyj na niegustowny dywan, a chwilę później prosił mnie, żebym się do niego wprowadziła. Simon tańczący do muzyki bandu grającego na otwarciu pierwszego hotelu, który zaprojektowałam. Simon pożerający mój chlebek z cukinii. Simon, który przez kilka godzin szukał Clive'a w deszczu. Simon śpiący w rogu łóżka i chrapiący jak smok... W końcu Simon stojący pod prysznicem i proszący mnie, abym została jego żoną. Simon był całym

moim światem. Musiałam polecieć na drugi koniec globu, żeby się z nim zobaczyć. Żeby zdążyć.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Kiedy wylądowałam w Hanoi, mój telefon był wypełniony wiadomościami od Mimi, Sophii, Ryana i Neila, ale interesowały mnie tylko te od Benjamin. Simon się obudził, niestety tylko na chwilę. Wciąż był pod wpływem leków, przygotowywali go też na kolejne badanie, które miało pokazać, czy będzie potrzebował operacji. Wiedziałam, że w zależności od tego, jak szybko dostanę się do szpitala, mogę zdążyć lub nie na ogłoszenie wyników badania. Udało mi się przejść przed odprawę celną bez wszczynania awantury, a potem wrzuciłam torbę podróżną do pierwszej lepszej rozpadającej się taksówki i rozkazałam kierowcy zawieźć się do francuskiego szpitala.

Przez cały ten czas nie uroniłam ani jednej łzy. Nie płakałam, kiedy zadzwoniłam do rodziców, by im powiedzieć, dokąd jadę. Nie płakałam, kiedy pakowałam się w takim pośpiechu, że chociaż zabrałam dziesięć par spodni, to tylko dwie pary majtek. Nie płakałam, kiedy Jillian wysadziła mnie na lotnisku. Nawet wtedy, kiedy jechałam do szpitala jakimś kłopotem przez zatłoczone ulice Hanoi nie płakałam. Ale poczucie paniki rosło. Do tej pory dawałam sobie radę, napędzana adrenaliną, ale kiedy padł mi telefon i nie byłam w stanie uzyskać żadnych informacji, zaczynałam powoli czuć, że zaraz wyjdę z siebie.

Gdy dojechaliśmy do szpitala, zapłaciłam kierowcy pięć razy więcej, niż powinnam, bo nie zdążyłam wymienić dolarów, ale nie miało to dla mnie znaczenia. Wbiegłam do środka i zaczęłam szukać jakichś wskazówek na temat tego, gdzie go szukać. Neurologia. Benjamin powiedział, że leżał na neurologii. Ale wspominał też coś o intensywnej terapii... Dokąd miałam iść? Gdzie on mógł być? Kręciłam się w kółko, szukając kogoś, kto potrafiłby mi pomóc.

– Proszę pani? – powiedział ktoś nagle miękkim głosem. Odwróciłam się i zobaczyłam kobietę siedzącą za biurkiem recepcji. – Czy mogę pani jakoś pomóc?

Na miłość boską, mówiła z południowym akcentem! Nie wiedziałam, czego się spodziewać, wbiegając do wietnamskiego szpitala, ale z pewnością nie drobnej blondynki, która brzmiała, jak Delta Burke *****.

***** Delta Burke – amerykańska aktorka filmowa i telewizyjna urodzona na Florydzie.

– Szukam pacjenta, Simona Parkera. Jestem jego narzeczoną. Miał wypadek. Podobno leży w tym szpitalu, ale nie wiem, gdzie, na którym piętrze i...

– Simon Parker, tak, leży tutaj. Na czwartym piętrze. Mam panią zaprowadzić?

Niespodziewanie załamam się łzami. Nie byłam w stanie przestać płakać. Moje ciało nagle się poddało, a cały stres postanowił wypłynąć ze mnie przez gałki oczne.

– Tak, poproszę – wydukałam, podczas gdy ona podawała mi chusteczki, całe pudełko.

– Simon Parker to ten fotograf, prawda?

– Tak! – pisnęłam i pozwoliłam się jej poprowadzić do windy. – Skąd pani wie?

– Mamy tutaj niewielu amerykańskich pacjentów. Wieść szybko się niesie. Spadł z wysokości.

– Tak! Ale od kiedy wylądowałam, nie miałam jeszcze okazji z nikim porozmawiać. Jak on się czuje? Czy pani coś wie? – zapytałam i otarłam twarz.

Drzwi windy otworzyły się w końcu na czwartym piętrze.

– Najlepiej będzie, jeśli pani porozmawia z jego lekarzem. Zaprowadzę panią do jego gabinetu, dobrze? – powiedziała.

Kiedy dotarłyśmy na miejsce, porozmawiała z dwiema pielęgniarkami, które wskazały nam jakiś pokój. Zobaczyłam nazwisko Simona na plakietce na drzwiach i zaaferowana pobiegłam do drzwi, bez podziękowania.

Potrzebowałam chwili. Wzięłam głęboki oddech, żeby przygotować się na to, co mogłam zaraz zobaczyć, i weszłam. Silna, silna, silna. Musiałam być silna. Cokolwiek tam zastanę, musiałam pozostać silna. Dla niego.

Dobrze mówić, ale kiedy zobaczyłam Simona leżącego na szpitalnym łóżku, otoczonego kroplówkami, maszynami i przeróżnymi piszczącymi aparatami, o mały włos nie wyszłam z siebie. Miał zabandażowaną głowę... Spał? A może był nieprzytomny? Właściwie to bez różnicy. Ucieszyłam się z dwóch powodów. Po pierwsze zdążyłam się pozbierać do momentu, w którym – a nie brałam pod uwagę inne opcji – się obudzi. Po drugie, i o wiele ważniejsze, byłam zwyczajnie wdzięczna. Wdzięczna za to, że mogłam tu z nim być. Pozwoliłam więc sobie przez kilka minut na płacz, podziękowałam komukolwiek, kto mógł mnie akurat słuchać, po czym odgarnęłam mu włosy z czoła, starając się nie dotykać twarzy. Było na niej mnóstwo draśnień i zadrapań. Poważniejsze z nich, na lewym policzku, zostały opatrzone plastrami zamykającymi rany. Miał ich pełno na całym ciele, od szyi aż po tors. Zadrżałam, kiedy wypuszczałam z płuc powietrze, a potem dałam mu maleńkiego buziaka w policzek, który pachniał znajomo, nawet mimo środków odkażających. Potem poszłam poszukać pielęgniarki, lekarza lub kogokolwiek, kto nosił na szyi stetoskop i wyglądał, jakby mógł mi powiedzieć, co się dzieje.

Najpierw zajrzałam do dyżurki. Benjamin zdążył w międzyczasie załatwić ze szpitalem, żebym została potraktowana jak członek rodziny i mogła uzyskać od lekarza wszystkie informacje. Ponieważ miał pełnomocnictwo, mógł komunikować się ze szpitalem i podejmować najważniejsze decyzje, jeżeli zajdzie taka potrzeba, a to oznaczało, że o pewnych sprawach mógł zadecydować bez mojego udziału. Ta myśl wydawała mi się tak abstrakcyjna, że nie

przyjmowałam jej do wiadomości.

Porozmawiałam z lekarzem prowadzącym Simona, który wyjaśnił mi wszystko to, co usłyszałam wcześniej od Benjamina. Czekali na wyniki badania RM. Simon budził się raz na jakiś czas. Mogłam przy nim zostać, żeby poczekać, aż się ocknie, a doktor obiecał mnie zawołać, kiedy przyjdą wyniki.

Tak też zrobiłam. Poprosiłam Benjamina, żeby dał znać wszystkim w domu, że jestem cała i zdrowa, a potem rzuciłam torbę na podłogę, usiadłam na krześle przy łóżku Simona i obserwowałam, jak śpi. Chwyciłam go za rękę i po raz kolejny zaczęłam podziwiać jego długie palce, siłę jego dłoni i piękno przedramion. Wyobrażałam sobie, że opuszkami głaszczę go po rękach. Trzymałam jego dłoń i przez chwilę patrzyłam na ruchy jego powiek. Czy spał? O czym mógł śnić? Prawdopodobnie o zdjęciu, które robił tuż przed upadkiem...

Kiedy tak rozmyślałam o tym wszystkim, poczułam, że mocno ścisnął mnie za rękę, tak jak tysiące razy wcześniej. Przeniosłam wzrok na jego twarz. Patrzył na mnie tymi swoimi szafirowymi oczami.

– Hej – wyszeptałam.

Jego wzrok błędził przez chwilę, aż w końcu nasze spojrzenia się spotkały.

– Hej, kochanie – odpowiedział szeptem, a moje oczy zaszyły łzami. „Hej” i „kochanie” w ciągu sekundy trafiły na listę najpiękniejszych słów w języku angielskim. – Pięknie wyglądasz.

– Zawołam pielęgniarkę, dobrze?

– Tak się cieszę, że tu jesteś – wyszeptał i zasnął, zanim pielęgniarka zdążyła wstać z krzesła w swojej dyżurce.

Tak, to był dobry znak.

Simon budził się na chwilę i zasypiał przez resztę dnia oraz większość nocy. Wyniki badań pokazały, że mimo iż przeszedł wstrząs mózgu, powinien całkowicie wyzdrowieć. Benjamin porozmawiał jeszcze z lekarzem, żeby mieć stuprocentową pewność, że będę mogła zostać z Simonem przez cały jego pobyt w szpitalu.

Okolo trzeciej nad ranem Simon wreszcie się obudził na nieco dłużej i przeżyłam najzabawniejsze dwadzieścia minut w swoim życiu. Wallbanger nafaszerowany lekami przeciwbólowymi to widok, który nie może się równać z niczym innym...

– Hej, Caroline, czy kiedykolwiek ci mówiłem, jak bardzo cię kocham?

– Nieraz, kochanie, ale nigdy nie będę miała tego dosyć.

– W takim razie będę to mówił częściej.

– Pewnie, Simon. Możesz mi to mówić, kiedy tylko będziesz miał na to ochotę.

– Hej, Caroline, czy kiedykolwiek ci mówiłem, jak bardzo cię kocham?

– Tak, mówiłeś, jakieś dwie minuty temu.

– Czyli kiedy?

Powiedział też to...

– Kiedy byłem na dnie tej jaskini, to było takie uczucie, jakby świat się otworzył. I widziałem gwiazdy, ale... to było tak, jakby... jakbyśmy to my byli tymi gwiazdami... One były wszędzie, ale jakby... my byliśmy gwiazdami... i wiesz, co jeszcze?

– Co takiego, Simon?

– My nimi byliśmy.

– Czym?

– Nimi.

– Nimi?

– Gwiazdami... my byliśmy... gwiazdami...

Jeżeli to wam się spodobało, to pewnie chcielibyście usłyszeć również to...

– Dzieci. Chcę cię wypełnić dziećmi. To znaczy, żebyś była w ciąży dziećmi. I miała dzieci. Dzieci. Dzieci. Caroline? Dzieci.

I wreszcie to...

– Caroline, tak się cieszę, że tu jesteś. Ale dlaczego zabrałaś ze sobą te wszystkie krasnale?

Rozbolał mnie brzuch, tak bardzo starałam się nie roześmiać, słuchając tych wszystkich głupot, które opowiadał nafaszerowany lekami. Po jakimś czasie ich działanie zelzało i jego słowa nabrały więcej sensu. Podałam mu wodę, a kiedy skończył pić, dał mi znak kiwnięciem głowy.

– Połóż się, nie powinienesz za dużo siedzieć – powiedziałam, próbując go nakłonić, żeby oparł się o poduszki.

Lekarz powiedział, że przez jakiś czas może mieć zawroty głowy.

– Prawdę powiedziawszy, tak mi wygodniej. A ty jak się czujesz? Nie chciałabyś się trochę zdrzemnąć?

– Spałam w samolocie.

– Przecież ty nie sypiasz w samolotach.

Złapana na gorącym uczynku, uśmiechnęłam się smutno.

– Naprawdę, czuję się dobrze. Powiedz mi lepiej, jak ty się czujesz. Bardzo cię boli?

– Trochę tak – przyznał.

– A jak twoje żebro? – zapytałam.

– Żebro?

– Złamałeś żebro i nie tylko. Odniosłeś mnóstwo obrażeń.

– Naprawdę?

– Jak dużo pamiętasz? – zapytałam zaskoczona.

– Wszystko. Przynajmniej tak mi się wydaje – powiedział i zamknął oczy, próbując przywołać wspomnienia. – No tak, rzeczywiście, możliwe, że złamałem żebro.

– Powiedz mi, co się dokładnie wydarzyło. Natychmiast! – rzuciłam i złapałam go mocno za rękę. – Tylko nie waż się niczego pominąć.

Opowiedział mi o olśniewająco pięknej jaskini i o tym, jakie to uczucie, fotografować tak piękne miejsce. Opowiedział o rozklekotanej konstrukcji z bambusa, po której się wspinał, żeby zrobić te swoje cholerne fotografie. I że musiał się spieszyć, bo słońce zaczęło zachodzić, a on chciał jeszcze obfotografować kolejną lokalizację. I że zgodził się wejść na górę, chociaż wiedział, że mocowanie jego szelek nie jest w pełni bezpieczne. I o tym, jak przez swój głupi aparat spadł z mającej ponad piętnaście metrów wapiennej skały, przy okazji zabierając całe to rusztowanie ze sobą. Pamiętał, jak spadał, jak uderzył o dno jaskini. I że udało mu się uratować aparat przed zniszczeniami. Niewiarygodne. Pamiętał też, że myślał o tym, że to jego najlepsze zdjęcie. Podwójnie niewiarygodne.

Kiedy był mniej więcej w połowie historii, z oczu znowu pociekły mi łzy. Usiadłam obok niego na łóżku, mocno ściskając go za rękę i starając się nie spuszczać go z oczu. Chłonełam widok jego twarzy, jego dłoni, nóg i palców wyglądających spod szpitalnego koca. Dotykałam go wszędzie, gdzie tylko mogłam, próbując oczywiście ominąć wszystkie rany i blizny, co tak naprawdę nie pozostawiało mi szerokiego pola do działania. Głaskałam go delikatnie po włosach, całowałam między otarciami i mówiłam mu, jak bardzo go kocham. Nie mogłam się powstrzymać. A on przez cały ten czas odwzajemniał moje gesty i szeptał, że czuje się dobrze, że wszystko będzie w porządku i żebym nie płakała.

Jego „nie płacz” było kroplą, która przepelniła czarę goryczy, bo kiedy wreszcie znalazł się na wyciągnięcie ręki, poczułam wszystko to, co wcześniej próbowałam w sobie zdusić: panikę, bezradność, lęk przed tym, że mogłam zostać skazana na życie bez niego, bez jego żartów i jego dotyku.

Nagle oswobodziłam się z jego uścisku i usiadłam, patrząc mu w oczy.

– Mam ochotę cię udusić – powiedziałam. – Naprawdę. Kocham cię i cieszę się z tego, co robisz, więc nigdy nie poprosiłabym cię o to, żebyś zrezygnował, ale nie jesteś bohaterem kreskówek, który może z zadziornym uśmiechem rzucać się w paszczę lwa w poszukiwaniu najlepszego ujęcia. Rozumiemy się? Jeżeli jeszcze raz zrobisz coś takiego, dasz się zranić tylko po to, żeby zrobić jakieś cholerne zdjęcie, uduszę cię gołymi rękami – zagroziłam i dźgnęłam go palcem. – I to bez znieczulenia.

– Obiecuję, że będę bardziej ostrożny – powiedział, a w jego oczach było widać, że wziął to na poważnie.

– Tak bardzo cię kocham – powtórzyłam.

Spletliśmy palce. Potrzebowaliśmy ciągłego kontaktu.

– Ja też cię kocham – powiedział, a potem powtórzył: – Ja też cię kocham. – Kolejna dawka leków przeciwbólowych zaczęła działać. – Tak się cieszę, że tu jesteś.

– No coś ty, i tak miałam tu przyjechać. Może pójdziemy pozwiedzać jakieś jaskinie?

Zaśmiał się, od czego na pewno rozboleały go żebra, więc i ja się w końcu rozchmurzyłam.

Pod koniec tego bardzo długiego dnia, który zaczęłam na drugim krańcu świata, Simon wreszcie poczuł się lepiej. Po tygodniu wypuszczono go ze szpitala. Widocznie urodził się pod szczęśliwą gwiazdą. Miał się nie przemęczać i dużo odpoczywać, ale mógł wrócić do domu. Doktorzy zalecili, żebyśmy nie lecieli od razu do domu, ale poczekali jeszcze kilka dni. Latanie niedługo po wstrząśnieniu mózgu, szczególnie tak poważnym, mogło być źródłem dyskomfortu, więc podjęłam decyzję, że zostaniemy w Wietnamie.

Po spędzeniu pierwszej nocy w mieście wynajęłam kierowcę i zabrałam go tam, gdzie mógł w spokoju dojść do siebie. Kiedy byliśmy w zatoce Ha Long ostatnim razem, zwiedzaliśmy małą wyspę. Stał tam odizolowany od reszty świata niewielki kompleks hotelowy, który później okazał się szeregiem luksusowych bungalowów. Domki stały na plaży, z zapierającym dech w piersiach widokiem na morze. Nad łózkami zamontowano moskitiery, łazienki urządzone w europejskim stylu, a obsługa hotelowa była dostępna przez całą dobę. Łącznie z przeprawą promem do hotelu, jechaliśmy tam tylko kilka godzin.

Kiedy zacumowaliśmy, od razu poszliśmy do recepcji, by się zameldować.

– Tu jest niesamowicie, ale to naprawdę nie było konieczne. Równie dobrze mogliśmy zostać w mieście.

– Wiem o tym, Simon, ale skoro już znaleźliśmy się tutaj w związku z twoim wypadkiem, pomyślałam, że moglibyśmy sobie odrobinę dogodzić. Spędzić kilka dni na odpoczynku, zanim wrócimy do domu.

– Taki miesiąc miodowy miesiąca miodowego? – zapytał, delikatnie napierając biodrami na moje biodra i obejmując mnie w talii.

– Coś w tym stylu – uśmiechnęłam się, ale kręcąc przy tym przecząco głową. – Pamiętaj, że w tym miesiącu musimy się obyć bez miodu. Słyszałeś zalecenia lekarza.

Doktor dyskretnie zasugerował, żebyśmy poczekali z pewnymi sprawami, aż Simon wyzdrowieje. Ponieważ chodziło o złamane żebro i uszkodzenie czaszki, zgadzałam się w stu procentach. On nie.

– Jeszcze zobaczymy. Wieczorem, kiedy poczujesz bryzę i usłyszysz szum fal uderzających o brzeg, zmienisz zdanie – wyszeptał i odgarnął mi włosy z szyi, żeby znalazło się tam miejsce na pocałunek. – Poza tym dobrze wiesz, jak świetnie wyglądam w blasku księżyca. Jedyne, o czym będziesz myśleć, to żeby zdjąć mi spodnie.

– Proszę, oto pani klucze, pani Reynolds.

Poczułam u Simona napięcie, kiedy uśmiechnęłam się do recepcjonisty.

– Tak, dziękuję bardzo – powiedziałam, próbując się nie roześmiać.

– Zostaniecie państwo zakwaterowani w bungalowie numer siedem. Proszę iść tą ścieżką prosto przed siebie. Państwa bagaż powinien być już na miejscu.

– Dziękujemy – powiedział Simon zza moich pleców i tym razem nie udało mi się powstrzymać uśmiechu.

Wzięłam torbę i klucze, złapałam go za rękę i poprowadziłam w stronę plaży. Późne popołudnie powoli przechodziło w wieczór. Światło zaczęło się zmieniać i wszystko wokół przybrało te magiczne kolory, które widzimy zazwyczaj o zachodzie słońca. Krawędzie przedmiotów wygładziły się, nawet powietrze pachniało inaczej. Szliśmy kamienistą alejką. Minęliśmy sześć innych bungalowów, zanim za zakrętem ukazał się nasz. Był oświetlony świeczkami, a w oknach powiewały lniane zasłony. Poczułam się trochę jak w niebie. Niebie... z klimatyzacją.

– Zobacz, nie mamy żadnych sąsiadów – powiedział Simon, patrząc na kawałek plaży, który przynależał do naszego domku.

To prawda, wokół nie było zupełnie nikogo. Między drzewami błyskały czasem pojedyncze światełka, ale poza tym byliśmy tylko my i morskie fale.

– Chodźmy pozwiedzać – rzuciłam, łapiąc go za rękę i prowadząc na werandę.

Przed drzwiami stały głębokie, wyglądające bardzo zachęcająco fotele przykryte poduszkami.

– Weź klucz i otwórz, dobrze? Pójdę sprawdzić, czy te fotele są rzeczywiście wygodne.

– Pewnie – powiedział, a potem wziął ode mnie klucz i przekręcił go w zamku.

Tuż przed tym, jak popchnął drzwi, ktoś otworzył je od środka. W korytarzu stali Benjamin i Jillian.

– Zaraz, zaraz, jak wy się tu dostaliście... Co się dzieje? – zapytał Simon, patrząc to na mnie, to na nich.

Uśmiechnęłam się.

– Dobrze widzieć cię całego i zdrowego – powiedział Benjamin i przytulił ciągle jeszcze zaskoczonego Simona. – I nigdy więcej mi tego nie rób, słyszysz?

– Odsuń się, teraz ja – powiedziała Jillian i delikatnie odepchnęła męża, żeby móc się dołączyć do przytulanki. – Jestem tak bardzo szczęśliwa, że dobrze się czujesz... Tylko żadnych więcej jaskiń, obiecuj!

– Uważajcie na moje żebra – upomniał ich Simon, wciąż jeszcze zmieszany, ale zadowolony, że ich widzi. – I powiedzcie mi, co wy tu, do licha, robicie.

– Przyjechaliśmy się upewnić, że Caroline ma wszystko, czego potrzebuje. Kiedy się dowiedziała, że postanowiła zbadać dno jaskini za pomocą własnej twarzy, wystrzeliła jak z procy. Masz apodyktyczną dziewczynę – powiedział Benjamin, po czym objął go i poprowadził do schodków prowadzących na plażę. – Chodź ze mną do naszego bungalowu. Po drodze wszystko ci opowiem. Przy okazji damy dziewczynom chwilę na rozpakowanie się.

– Dobrze, w porządku. Caroline, nie masz nic przeciwko temu? – zapytał Simon, zaciekawiony tym, co miał usłyszeć.

– Idź. Jillian przywiozła mi parę rzeczy, w tym trochę ubrań na zmianę. Zrobimy krótką

naradę, a potem możemy iść na kolację.

Nachyliłam się, żeby dać mu buziaka. A potem jeszcze jednego.

– Brzmi okej, kochanie – powiedział. – Wiedziałaś, że oni tu będą?

– Wiedziałam – odpowiedziałam i pocałowałam go raz jeszcze. – Niespodzianka.

– Jesteś trochę przerażająca, wiesz o tym?

– Owszem, wiem – przytaknęłam. – Idź się pobawić z Benjaminem. Zobaczymy się niedługo.

Chłopcy poszli wzdłuż plaży, a ja zwróciłam się do Jillian.

– Bardzo ci dziękuję, że pokonałaś dla nas taki szmat drogi.

– Nie ma za co. Zawsze chciałam zwiedzić tę część świata. Poza tym Benjamin bardzo się martwił i chciał lecieć jak najszybciej – odpowiedziała, po czym objęła mnie ramieniem i razem weszliśmy do środka.

Podawała mi torbę podróżną, którą miała zabrać z domu.

– Wzięłaś ją? – zapytałam i rozsunęłam suwak.

– Tak – powiedziała, a ja zaczęłam wyjmować z torby długą, zwiewną sukienkę.

Długą, zwiewną, białą sukienkę.

– Idealnie...

Godzinę później, kiedy Simon i Benjamin wyszli z bungalowu, zastali mnie i Jillian na zewnątrz.

– Hej, gdzie... O rety! Wyglądasz bosko – powiedział mój narzeczony, gdy stanęłam przed nim.

Szybko złapałam go za rękę i poprowadziłam w stronę plaży, zostawiając przyjaciół w tyle.

– Co się dzieje? Myślałem, że idziemy z nimi na kolację?

– Jeszcze nie teraz – odparłam, patrząc na plażę.

W oddali zobaczyłam kilka świec i pochodni.

– Simon, chciałam z tobą porozmawiać na osobności...

– Co tym razem kombinujesz, Caroline? – zapytał, patrząc na mnie uważnie.

– Kupiłam tę sukienkę rok temu w jednym z butików w Mendocino, kiedy odwiedzałam Viv. Akurat wyjeżdżałam z miasta. Zobaczyłam ją na wystawie po drugiej stronie ulicy, kiedy zatrzymałam się na światłach. Kupiłam ją, nie mając zielonego pojęcia, czy będę miała okazję ją założyć. Po prostu ją wzięłam, prosto z manekina. Musiałam ją potem zanieść do krawca, żeby ją przedłużył, bo była za krótka. Powiedział, że jest bardzo stara, prawdopodobnie uszyto ją w latach trzydziestych ubiegłego wieku.

– Wyglądasz w niej doskonale – powiedział Simon, trzymając mnie na dystans, żeby móc lepiej mi się przyjrzeć. – No, dalej, dziewczyno, zatańcz dla mnie!

Zaśmiałam się i zrobiłam obrót. Sukienka miała kolor kości słoniowej, była obszyta koronką powyżej pasa i delikatną, zwiewną jej warstwą w dolnej części. Prawdopodobnie noszono ją

popołudniami, podczas leniwych spacerów po mieście lub przechadzek po ogrodach. Zakładano do niej pończochy i wiązane trzewiki. Ja byłam na bosaka.

Po raz kolejny mocno ścisnęłam jego rękę i poprowadziłam go dalej.

– Kiedy Benjamin mi powiedział, co się stało, zaczęłam działać w trybie awaryjnym. Nie myślałam o niczym innym, tylko o tym, żeby jak najszybciej znaleźć się obok ciebie. Nawet nie potrafię opisać, jakie to uczucie: być tak daleko od ciebie, nie wiedzieć, co ci dolega, nie móc ci pomóc... Jak to jest: bać cię, że ktoś, kogo tak bardzo kochasz, może zostać ci odebrany na zawsze. Wiem, że nie muszę ci tego opisywać, bo ty już wiesz, jak to jest.

Na jego twarzy pojawił się smutek. Złapał mnie mocno za rękę.

– Caroline, tak mi przykro, że musiałaś przez to wszystko przechodzić.

– Być może miało to pewne plusy – powiedziałam i wtuliłam się w niego, a on objął mnie w talii. – Bo teraz jestem już pewna... Miałam mnóstwo czasu na przemyślenia, a jedynym, o czym mogłam myśleć, byłeś ty. I my. I to, jak bardzo cię kocham. – Prowadziłam go przez piasek, zwróconego plecami do morza. – I jest jeszcze jedna rzecz, o której wiele myślałam...

– Co takiego? – zapytał, unosząc brwi.

– Pianki czosnkowe – powiedziałam, a potem odwróciłam go w stronę plaży.

Uwielbiam, kiedy Wallbanger nie jest w stanie wydusić słowa...

Setki roztańczonych świec i pochodni. Lampiony w kolorach fioletu, indygo, szmaragdu i rubinu tańczące na letnim wietrze. W oddali księżyc nieśmiało oświetlał Ha Long, miejsce, w którym wyspy i szczyty otulały mgły i mchy. A przed nami? Ołtarz otoczony zniczami, a przy nim Jillian i Benjamin. I wietnamski odpowiednik sędziego pokoju.

– Ożeń się ze mną, Simon. Ożeń się ze mną tu i teraz, bez zbędnych ceregieli. Ożeń się ze mną na oczach tylko dwóch świadków, naszych przyjaciół. Bez rodziców, bez kolegów z pracy, bez klientów, bez całego tego wybierania jedzenia. Tylko ja, ty i gwiazdy. Spędziłam całą noc w przedziale, zastanawiając się nad tym, czy kiedykolwiek jeszcze odwzajemnisz moje spojrzenie i teraz nie chcę już iść przez życie, nie będąc twoją żoną. Nie zależy mi na wystawnym weselu, szczególnie jeżeli musiałbyś zrezygnować ze swoich ulubionych pianek czosnkowych, które, pozwolę sobie zauważyć, czekają na ciebie w głównym budynku jako dodatek do naszej weselnej uczyty składającej się głównie z gigantycznych krewetek. Pragnę ciebie i tylko ciebie, aż do końca moich dni – powiedziałam, a usta drżały mi ze zdenerwowania. – Ożeń się ze mną, Simon.

Stał nieruchomo, tylko kącik jego ust delikatnie się uniósł, kiedy rozglądał się wokół, podziwiając bajkowy wystrój. Taka bajka idealnie pasowała do nas. I była perfekcyjna.

– Mam tylko jedno, małe, pytanie – powiedział w końcu, a potem uniósł nasze splecione dłonie i złożył pocałunek tuż nad moim pierścionkiem zaręczynowym.

– Wal śmiało.

– O co chodziło z tą nocą w przedziale?

– Mówisz serio? Z całych moich oświadczeń tylko ten fragment zapadł ci w pamięć?

– Praktycznie rzecz ujmując, to ja pierwszy poprosiłem cię o rękę. Nie wąż się o tym zapominać.

– W porządku.

– Mogę ci zadać jeszcze jedno pytanie?

– Dobrze, ale to już ostatnie, bo potem chciałabym usłyszeć odpowiedź.

– Czy to w ogóle jest legalne?

Zaśmiałam się i przyciągnęłam go do siebie na szybki pocałunek.

– Ani trochę. Ale to jest tylko dla nas.

– Zdajesz sobie sprawę z tego, że jestem tylko twój, Dziewczyńko w Różowej Pizamce?

– Czy to znaczy, że się zgadzasz?

– A niech mnie, oczywiście, że się zgadzam, chodźmy się zaobrączkować! – wyszeptał, a ja rzuciłam się mu na szyję.

– Tylko uważaj na zebra, dobrze?

– Cholera! – krzyknęłam i usłyszałam, jak Benjamin znacząco odchrząknął. – O kurde, właśnie przeklełam na własnym weselu. O kurde, zrobiłam to jeszcze raz!

– To już będą trzy razy.

– Siedź cicho, Wallbanger...

Po tej podniosłej wymianie zdań ruszyliśmy do ołtarza. Wybraliśmy najprostszą z przysięg. Obiecaliśmy sobie wszystko, co tylko mogliśmy, a potem pocałowaliśmy się pod gwiazdami i przybiliśmy piątkę naszym świadkom w drodze od ołtarza. Odcięliśmy sznurki około pięćdziesięciu lampionom i puściliśmy je wolno, żeby leciały w stronę gwiazd. A potem poszliśmy na czosnkowe pianki.

Bo właśnie tego pragnął mój mąż.

Tej samej nocy, w łóżku nowożeńców...

– Ależ to przyjemne! Nie przestawaj, rób dalej dokładnie to, co robisz. Proszę, nie przestawaj.

O tak. Właśnie tak. To jest takie... hmm.

– Który to już będzie?

– Straciłam rachubę.

– Ale ten jest największy.

– Czuję to. Chryste, ale to przyjemne... jeszcze... jeszcze... jeszcze.

– Za chwilę skończy nam się żel na ukąszenia.

Tak to jest właśnie z braniem ślubów w tropikach. Komary, cholerne skurczybyki. Całą noc poślubną spędziliśmy, drapiąc się w miejscach ukąszeń i wylewając na siebie hektolitry żelu. A ponieważ Simon wszystkie aktywności związane z seksem miał chwilowo na czarnej liście, smarowaliśmy się, drapaliśmy i obejrzeliliśmy *Goonies*. Z napisami.

Najlepsza noc poślubna na świecie.

– Czy ty, Caroline, bierzesz tego oto Simona za męża i ślubujesz mu miłość, wierność i uczciwość małżeńską oraz to, że go nie opuścisz aż do śmierci?

– Tak.

– Czy ty, Simonie, bierzesz tę oto Caroline za żonę i ślubujesz jej miłość, wierność i uczciwość małżeńską oraz to, że jej nie opuścisz aż do śmierci?

– Tak.

A tak właśnie zostaliśmy oficjalnie mężem i żoną. Zaprosiliśmy z Simonem najlepszych przyjaciół i członków najbliższej rodziny do naszego domu w Sausalito. I księdza, któremu kiedyś przeprojektowałam dom. Simon miał na sobie dżinsy, a ja letnią sukienkę, kiedy pobieraliśmy się po raz drugi, tym razem tak, żeby ślub był uznawany przez państwo. Czy moi rodzice byli zawiedzeni, że gigantyczne i efektowne wesele, które planowali, się nie odbędzie? Być może tak, ale ostatecznie wykazali się zrozumieniem. Tak samo jak Mimi i Sophia, które wybaczyły nam nawet to, że nikt im nie powiedział o naszym wietnamskim weselu.

Zatrzymaliśmy pierwotną datę, tyle tylko, że skróciliśmy listę gości o dwie trzecie. Z wyjątkiem kilku przyjaciół Simona z Pensylwanii i jego dawnych sąsiadów, państwa White, wszyscy byli stąd. No, w każdym razie z Kalifornii Północnej.

Byli Viv i Clark z Willem, który był równie słodki, co guziki jego jednoczęściowego garniturka. Byli też Chloe i Lucas, którzy akurat odwiedzali Sopię i Neila. Wyobraźcie sobie, że Chloe i Clark okazali się kuzynami!

Byłam szczęśliwa, że miałam ich wszystkich obok siebie w tym szczególnym dniu. Szczególnym, a zwyczajnym. Bo prawda jest taka, że nie koronki i tiule czynią wesele, ale ludzie. Zorganizowaliśmy barbecue, kupiliśmy mnóstwo wina, piwa i prowizoryczny automat do napojów bezalkoholowych, a potem urządziliśmy przyjęcie. Wystawiliśmy na taras stary odtwarzacz płyt Simona, który zabawił się w nerda audiofila i zainstalował jakieś głośniki, dzięki czemu nasze wesele w Sausalito wypełniły dźwięki muzyki.

Zamiast kupować tort, spędziłam dwa dni w kuchni z mamą, przyjaciółkami, ciotkami i kuzynkami, podczas których upiekłyśmy kilka blach niesamowitych brownie Iny. Byłaby z nas dumna. Specjalnie dla Simona zrobiłam jego ulubioną szarlotkę, którą później wysmarował mi twarz. Zamiast tortu jedliśmy właśnie to ciasto i sprawdziło się idealnie.

Siedziałyśmy na ławce w ogrodzie, jedząc brownie z Mimi i Sopią i patrząc, jak nasi chłopcy grają we frisbee z Benjaminem oraz kolegami ze szkoły Simona. Trzymałam Mary Jane na rękach, ale w pewnym momencie Sophia musiała ją zabrać. Ktoś zdecydowanie zgłodniał.

– Nie tak sobie wyobrażałam twoje wesele, Caroline – rzuciła Sophia, zmieniając pierś. – Ale też nieźle się bawię.

– Zabawa, to właśnie mi się podoba. Glamour zachowaj dla siebie. A jak ci idzie planowanie?

– Idzie mi świetnie! Segregator z każdym dniem się zapełnia – rzuciła Mimi.

Poważnie rozważała założenie drugiego biznesu, co zresztą jak najbardziej powinna była zrobić.

– A skoro już jesteśmy przy segregatorach, to mam tam kilka zdjęć z pomysłami na fryzurę dla ciebie, Sophio. Musimy je razem obejrzeć. Już od kilku tygodni zbieram wycinki z gazet. Wiedziałaś, że Grace Sheridan ma dokładnie taki sam kolor i długość włosów? Jej są odrobinę bardziej kręcone, ale ogólnie rzecz ujmując, niewiele się różnią.

– A kto to jest Grace Sheridan? – zapytała Sophia, co zaskoczyło zarówno Mimi, jak i mnie.

– Na pewno wiesz – powiedziałam, kiwając z niedowierzaniem głową. – Ona występuje w tym programie w telewizji...

– Na pewno to ja wiem, że nie wiem, kim ona jest. Od miesiący oglądam tylko programy Neila i *Ulicę Sezamkową*. W miejscu mózgu mam teraz papkę – powiedziała Sophia, przecząco kręcąc głową, żebym na pewno jej uwierzyła.

– Poczekaj, już wiem, jak to wytłumaczyć... – rzuciła Mimi. – Chodzi o dziewczynę Jacka Hamiltona. Wiesz, tego...

– Brytyjczyka? No, teraz możemy rozmawiać. Ależ on jest seksowny! Musimy koniecznie pójść na jego nowy film, kiedy tylko wejdzie do kin. Poprosimy chłopaków, żeby zostali z Mary Jane, a same spędzimy kilka miłych chwil w towarzystwie tego uroczego faceta – powiedziała Sophia, ewidentnie planując nam dziewczyniński wypad.

– Tak, tak, tak, to dziewczyna Jacka Hamiltona, ale o wiele ważniejsze jest to, że ma przepiękne włosy. I dokładnie ten sam odcień rudego, co ty. Znalazłam jej zdjęcie, takie z czerwonego dywanu, na którym...

Sophia nie mogła się powstrzymać i znowu weszła Mimi w słowo:

– Kiedy szła z Jackiem po czerwonym dywanie? Ach! Uwielbiam to! Pamiętacie, jak wszyscy plotkowali na temat tego, z kim on się umawia?

– Poczekaj, rozmawialiśmy przecież o jej fryzurze! Posłuchaj, znalazłam idealny sposób upięcia włosów...

– Och, daj spokój z upinaniem. Lepiej pogadajmy o włosach Jacka Hamiltona. Szczególnie świeżo po seksie, jeśli rozumiecie, co mam na myśli. Zastanawiam się, czy uprawiają seks w limuzynach w drodze na gale i bankiety...

– Przestań już! Natychmiast przestań! Rozmawialiśmy o fryzurze na twój ślub...

Wolałam skupić się na piwie i tylko jednym uchem słuchałam dyskusji Sophii i Mimi zatytułowanej „włosy upięte versus rozpuszczone”. Drugie ucho nastroiłam na początek utworu Glenna Millera, który akurat popłynął z głośników. Wystarczyło kilka sekund i Simon stał przy mnie.

– Pani Parker?

– Panie Reynolds. – Mrugnęłam i wstałam. – Żegnam, dziewczęta.

– Żegnaj – powiedziały jednogłośnie, podczas gdy szłam za mężem w kierunku zaimprovizowanego parkietu.

Zainspirowani naszym wietnamskim ślubem postanowiliśmy, nawet jeśli to nie było do końca legalne, powiesić w ogrodzie lampiony, próbując przywołać atmosferę z zatoki Ha Long.

– Jesteś szczęśliwa? – zapytał, po tym jak wykonałam taneczny obrót na naszym ceglany patio.

– Ekstacycznie. A ty?

– O tak. Szczególnie od chwili, w której lekarz przekazał mi dobre wieści.

– Naprawdę?

– Naprawdę, dziecino. Jestem gotowy – wyszeptał i przyciągnął mnie do siebie.

O, rety. Nie kłamał.

– A cóż to takiego? – szepnęłam, próbując wymacać ręką to coś, co na mnie napierało. – Jesteś naprawdę, naprawdę twardy, Simon...

– Słucham? Może to dlatego, że mam w spodniach butelkę. Dosłownie – zaśmiał się, po czym ją wyjął. I dzięki Bogu, że to była butelka, bo nie dość, że była potwornie twarda, to jeszcze ... hm... jakby to powiedzieć... Zdecydowanie cieńsza.

– Ale po co ci ta butelka?

– Pomyślałem, że zbiorę trochę ziemi, może za parkietem coś znajdę... Włożę do butelki i dołożę do naszej kolekcji. Wiem, że to nie piasek, ale pomyślałem, że miło mieć jakąś pamiątkę.

Uśmiechnęłam się i powiedziałam, że to słodki pomysł. Wiele lat temu Simon zaczął zbierać piasek z plaż, które miał okazję odwiedzić. Trzymał go w małych, opisanych buteleczkach na wąskiej półce. Na drugiej, tuż obok, stały buteleczki z piaskiem z plaż, na których byliśmy razem. Przywiozłam trochę piasku z Wietnamu i wzruszyło mnie, że chciał mieć pamiątkę także z dzisiejszego wieczoru. Ale wracając do jego kieszeni...

– Podoba mi się kierunek, w którym zmierzamy – rzuciłam i napałam na niego biodrami. Poczułam jakiś nowy kształt. Zdecydowanie większy.

– Jak myślisz, kiedy oni sobie pójdą? – zażartowałam, chociaż tylko w połowie.

– Myślę, że jak tylko skończą się żeberka, a ty?

– Jesteśmy tacy dystyngowani. Podać żeberka na własnym weselu.

– I jeszcze sałatkę ziemniaczaną. Nie zapominaj o sałatce.

– I o szarlotce.

– Szarlotka była wyśmienita. Nigdy nie przestawaj jej robić. Kurde, powinienem był dodać zapis o tym do twojej przysięgi – powiedział i zaczął tańczyć, czym rozśmieszył mnie do łez.

A potem, na samym środku naszego ogrodu, w obecności wszystkich, których kochaliśmy, pocałował mnie. Mój mąż.

– Ale bałagan!

– Powinniśmy byli do listy prezentów dodać voucher na darowe sprzątanie – powiedział zniechęcony Simon, oceniając zniszczenia w kuchni.

– Szkoda, że na to nie wpadliśmy – rzuciłam smutno, po czym poklepałam go po ramieniu i weszłam do jadalni, która chwilowo pełniła funkcję centralnego magazynu prezentowego.

– Mamy najnowszej generacji blendery, noże elektryczne i... A co to takiego? – zapytałam, podnosząc białe pudełko.

– To jest Pan Bekon – powiedział Simon z dumą.

– A kto to taki ten pan bekon?

– Pan Bekon. Robi się w nim bekon.

– Rozumiem. Ale czy naprawdę go aż tak potrzebujemy?

Nagle na stole kuchennym i pod nim pojawiły się wszystkie nasze koty. Usłyszały słowo „bekon”. Rozumiały słowo „bekon”. Po prostu kochały bekon.

– Używa się go do przyrządzania bekonu w kuchence mikrofalowej. To jeszcze łatwiejsze niż robienie muffinów. Hm, to nawet dość adekwatne porównanie, bo jeśli owiniesz plaster bekonu wokół tego czegoś, po wyjęciu z mikrofalówki otrzymasz coś w rodzaju minibabeczki. Będziesz mieć taką minibabeczkę bekonową, do której będziesz mogła włożyć najprzeróżniejsze nadzienia!

– Kto, do licha, kupił nam coś takiego?

– Trevor i Megan.

– Chyba żartujesz! Nie wierzę, żeby Megan, była pracownica Food Network, dała nam coś takiego w prezencie ślubnym.

– Tak naprawdę dali nam dwa prezenty. Drugim jest komplet tych białych talerzy Williams-Sonoma, które musiałaś mieć.

– Grzeczna dziewczynka – rzuciłam i ponownie raz spojrzałam na pudełko, które trzymał Simon. – Trevor sprytnie to wymyślił.

– Możesz się naśmiewać z Pana Bekona, ale to wciąż nie rozwiązuje kwestii całego tego bałaganu.

– A może urządzimy przyjęcie poprawinowe? Zaprosimy mniej więcej tych samych ludzi, co na wesele, tyle że każemy im zrobić porządek. W ten sposób my nie będziemy musieli spędzać całego miesiąca miodowego na sprzątanii – zaproponowałam, a oczy Simona rozbłyły.

– Tak, ale właściwie dlaczego spędzamy naszą noc poślubną, rozmawiając o bekonie?

– Sam zacząłeś...

Simon nie dał mi dokończyć. W dwóch susach znalazł się przy mnie i zaczął mnie całować. Zapłonęłam w ułamku sekundy.

– Jesteś tego pewien? – zapytałam, próbując złapać oddech między pocałunkami.

– Żartujesz sobie ze mnie, prawda? – powiedział niskim i niesłychanie seksownym głosem,

a jego pocałunki zaczęły wędrować w dół, wzdłuż mojej szczęki, choć dobrze wiedział, że wystarczy jeden całus poniżej policzka i będę cała jego.

– Straciłem okazję w naszą noc poślubną i nie zamierzam stracić jej po raz drugi.

– Ale nie szalejemy dzisiaj za bardzo, dobrze?

To, że doktor mu pozwolił, nie oznaczało jeszcze, że powinniśmy to robić, zwisając z żyrandola.

– Lubię powoli – wyszeptał i złapał mnie za pośladki.

– Za pierwszym razem też robiliśmy to powoli, nie wiem, czy pamiętasz... – westchnęłam, kiedy jego usta znalazły się w moim ulubionym miejscu, tuż pod uchem.

Wchodziliśmy na górę po schodach, gasząc za sobą światła i całując się jak nastolatki.

– Inaczej to wspominał – powiedział.

Ustawił mnie tyłem do siebie i poprowadził korytarzem. Rękoma obejmował mnie w talii, a jego wargi pieściły moje ucho. Trochę łaskotało.

– Wszystko zaczęło się bardzo powoli. Na początku byliśmy przyjaciółmi. Chociaż tylko przez chwilę – przypominałam mu i zatrzymałam się przy drzwiach do sypialni.

– Nie pamiętam, żebyśmy na początku byli przyjaciółmi. Pamiętam, że było zupełnie na odwrót.

Mówiąc to, pociągnął mnie wargami za ucho, a konkretniej za to, czym były przekłute. Czyli jego prezentem ślubnym.

Tamtego dnia rano, kiedy się obudziłam, na poduszce, na której zazwyczaj o tej porze widziałam głowę Simona, ujrzałam pudełeczko. Usłyszałam, że myje zęby, i odwróciłam się, żeby zobaczyć, co wykombinował. Ponieważ czuliśmy, że prawdziwy ślub mamy już za sobą, nie musieliśmy się bawić w całe to „nie można oglądać panny młodej przed ślubem”. Poza tym wolałam, żeby wrócił do łóżka.

– Co to takiego? – zapytałam, po czym padłam z powrotem na poduszkę i przykryłam się szczelnie kocem.

– Niepodziałka dla panny młodej – usłyszałam.

– Poczekam, aż wyplujesz pastę, kochanie – odpowiedziałam.

Wypluł i szybko dołączył do mnie.

– Mała niespodzianka dla panny młodej – powtórzył tym razem poprawnie.

– Ale przecież się umówiliśmy, że nie dajemy sobie prezentów – zaprotestowałam.

Rozmawialiśmy o tym wcześniej i oboje się zgodziliśmy, że nie będziemy sobie robić niespodzianek.

– Oj, nie marudź i otwórz – poinstruował mnie, więc zrobiłam, co mi kazał.

Niebieskie.

Błyszczące.

Ogniste.

Kolczyki. Wypełnione diamentami i szafirami, w kolorze identycznym jak jego oczy. Kawalki szafiru w kształcie łezki były zamocowane w podstawie z oszlifowanego diamentu.

– Simon, coś ty narobił? – wydusiłam.

Trzęsły mi się ręce.

– Dzięki nim będziesz miała coś starego, bo przecież są stare, ale też coś nowego, bo dla ciebie są zupełnie nowe. Coś niebieskiego, bo oczywiście są niebieskie. No i coś pożyczonego, chociaż tylko częściowo, bo od teraz są już twoje. Z praktycznego punktu widzenia pożyczasz je na zawsze.

– Od kogo? – wyszeptałam, chociaż znałam dobrze odpowiedź.

– Od mojej mamy – powiedział.

– Kocham cię najbardziej na świecie – rzuciłam i przyciągnęłam go do siebie, żeby dać mu buziaka.

– Podobają ci się?

– Są przepiękne.

Założyłam je od razu i chodziłam w nich przez cały dzień, co prowadzi nas z powrotem do momentu, w którym Wallbanger skubie moje ucho, kiedy stoimy w drzwiach sypialni.

– Z tego, co pamiętam, nienawidziłaś mnie w dniu, w którym się poznaliśmy – powiedział i zostawił moje uszy w spokoju, ale tylko po to, żeby odgarnąć włosy na bok i zacząć całować mnie w szyję.

– Nie nienawidziłam cię, chociaż z pewnością nie byłam twoją fanką – przyznałam, wspominając, jak otwierał drzwi, w które tak zaciekle waliłam chwilę wcześniej pięściami. – Po prostu brakowało mi snu.

– Zdecydowanie nie tylko tego ci brakowało, kotku – powiedział i wtulił się w moje ramiona, a potem położył ręce na mojej sukience i zaczął powoli zbierać materiał coraz wyżej nad moimi biodrami. – Jestem pewien, że tego też.

Moje ciało zareagowało tak jak zawsze. Poddało się jego dotykowi.

– Rzeczywiście za tym tęskniłam – odpowiedziałam i zaczęłam się bawić jego włosami. – Ale dzięki tobie przestałam.

– Dzięki nam obojgu – poprawił mnie, po czym pchnął w głąb sypialni.

– My. Podoba mi się to „my” – powiedziałam, wyczuwając kraniec łóżka.

Od kiedy byliśmy razem, nie mieliśmy tak długich epizodów bez seksu. I wtedy, tak samo jak na początku naszego związku, po raz kolejny moje ciało odżyło. Ściągnęłam z niego spodnie, a on ze mnie sukienkę. Potem zdjęłam mu buty, a on mi biustonosz. Moje wrażliwe piersi wypełniły jego dłonie. Podwiązki zerwał ze mnie zębami, zostawiając na moich udach tylko ślady mokrych pocałunków.

Kiedy już byliśmy całkiem nadzy, spleceni ze sobą i rozpaleni, położyłam się na łóżku, blisko wezgłowia.

– Dokąd uciekasz, słodka Caroline? – zapytał i zaczął na iść czworakach w moją stronę.

– Chciałam tylko złapać się tego – zażartowałam i wygięłam się cała, próbując chwycić żelazne oparcie.

– Moja szkoła.

Położył się na mnie i poczułam jego silne, muskularne nogi. Objęłam go udami.

– Kocham cię, Simon. Cholernie cię kocham – szepnęłam, po czym odgarnęłam mu włosy z twarzy.

– Ja ciebie też kocham, pani Parker.

Wtedy we mnie wszedł. Nasze ciała dostosowały się do siebie, doskonale się pamiętając, jakby były stworzone do tego, aby perfekcyjnie się uzupełniać i zatapiać w sobie nawzajem. Przez chwilę się nie ruszał, rozkoszując się tym, jak bardzo do siebie pasujemy.

– Chryste, ależ za tobą tęskniłem – jęknął.

W jego głosie było słycać napięcie wywołane tym, że starał się powstrzymywać, nie spieszyć.

W naszą noc poślubną nauczyliśmy się, na czym polega urok powolności, precyzji i cichego wysiłku. Nasze ciała, prawie nieruchome, spojone kropelkami potu, łączące się ze sobą ciągle od nowa.

Cicho.

Powoli.

Słodko.

Idealnie.

Nasz pierwszy raz, który przeżyliśmy jako małżeństwo, był romantyczny i cudowny.

Natomiast drugi... Simon nie mógł się powstrzymać. Parcie bioder, chaotyczne ruchy ramion, ugryzienia, lizanie, ssanie, pieprzenie. Na chwilę spleśliśmy dłonie, ale zaraz potem znowu chwyciłam się oparcia.

– Naprawdę podoba ci się to oparcie, Dziewczynko w Różowej Pizamce.

Miał absolutną rację.

Łup.

– O, Boże!

Łup, łup.

– O, Boże!

Jak ja kocham tego faceta.

Mogłabym to powtarzać do końca swoich dni, a raczej naszych dni, bo tylko Wallbanger mógł mi zagwarantować szczęśliwe zakończenie.

...

...

...

Ach.

EPILOG

Usłyszałem, że Żywicielka i Wysoki narzekają na bałagan. Nie widziałem potrzeby, żeby sprzątać. Powiedzieli słowo „bekon” niezliczoną ilość razy, drażniąc się ze mną bezlitośnie, ale przynajmniej nie zebrali resztek i reszteczek pieczonych żeberek po tej swojej imprezie.

Znalazłem półmisek, na którym było pod dostatkiem pyszności, i dałem znak dziewczynom, że upolowałem dla nich całkiem pokaźną biesiadkę. Taki już byłem – lubiłem się opiekować, w szczególności dziewczynkami. W podzięcie za udostępnienie im lokalu oraz ochronę przed takimi niebezpieczeństwami, jak choćby odkurzacz, śmieciarka i szambiarka, moje trio dbało o mnie i mnie rozpieszczało. Jeżeli wiecie, co mam na myśli.

Kiedy dziewczęta zabrały się za wyjątkowo smaczne kąski, wróciłem do mojej wcześniejszej misji. Normalnie staram się unikać śmietników, szczególnie kiedy sobie uświadomiłem, że całą młodość zmarnowałem na ganień wacików i patyczków do uszu. Naprawdę szkoda czasu na te bezowocne zabawy. Coś jednak przykuło moją uwagę w jednym z pokoi na górze. Tym, które Żywicielka i Wysoki używali jako kuwety. Bezszelestnie wspiąłem się na górę, minąłem ich legowiska, przeczuwając, że mają lekki sen. Wysoki miał dziś po południu ten wyraz twarzy, który nauczyłem się już rozpoznawać, i który oznaczał, że Żywicielka będzie przez niego miauczeć przez resztę wieczoru. Ale nieważne, dziś polowałem na grube ryby. Ryby, mniam!

Udało mi się niezauważenie przemknąć do kuwety i od razu skierowałem się do kosza na śmieci. Z gracją otworzyłem pojemnik łapką i wysypałem jego zawartość na ziemię. Przedarłem się przez chusteczki, pustą buteleczkę po lekach i wacik (to pewnie był ten, który dwadzieścia minut temu rzucił się do ucieczki i wszelki ślad po nim zaginął), po czym natknąłem się na intrygujący obiekt.

Był owinięty papierem toaletowym (jakby mogło mnie to zniechęcić) i okazał się pudełkiem z długim patyczkiem w środku. Patyczek miał idealny ciężar, wspaniale balansował trzymany w pyszczku. Można się nim było fajnie pobawić. Złapałem za cieńszy koniec, pobiegłem do drugiego pokoju i cichutko wskoczyłem na łóżko. Przelazłem nad łydkami, kolanami, łokciami i ramionami, po czym uwiłem sobie gniazdko pomiędzy Wysokim i Żywicielką. Patyk wziąłem ze sobą, żeby mieć do zabawy na później.

To był ciężki dzień. Byłem na nogach już co najmniej od godziny. Jeszcze raz przyjrzałem się patykowi i zauważyłem, że na jednej jego stronie jest namalowany jakiś dziwny symbol. Dwie

równoległe czerwone linie. Hm... Postanowiłem rozwiązać zagadkę kiedy indziej i wyciągnąłem łapy, żeby mieć pewność, że dotykam moich ludzi. Zawsze mi się wydawało, że ich to uspokaja. To była moja druga praca – robić wszystko, żeby moi ludzie dobrze się czuli.

Poczułem, że Wysoki zaczyna się wiercić, więc postanowiłem szybko się zdrzemnąć, zanim całkiem się obudzi i zacznie zawracać znowu głowę Żywicielce.

Zamknąłem oczy i od razu zasnąłem. Śniło mi się, że już zawsze na obiad były żeberka...

– Coś ty znowu przytargał do łóżka, Clive? Co to jest... Do cholery!

– Co się stało? – spytała Żywicielka, ziewając.

Chwila ciszy.

– Caroline? Czy jest coś, o czym chciałaś mi jednak powiedzieć?

Jeszcze dłuższa chwila ciszy...

– No, wiesz, Simon. Zabawna sprawa...

– Do licha, stary! – krzyknął, podniósł Simona z kanapy i zaczął go ścisnąć.

Ścisnął go jeszcze wtedy, kiedy Mimi i Ryan zajrzeli do pokoju.

SPIS TREŚCI

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Dedykacja

Podziękowania

Prolog

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

Rozdział piąty

Rozdział szósty

Epilog